Nr. 26. Poznań, Niedziela 24-go Czerwca 1900 r. Rok IV.



Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie **1 markę;** *na poczcie w Austro-Węgrzech 59 cent.*
Pod opaską: *w Niemczech* **1,65 mr.,** *w Austro-Węgrzech* **1 złr.,** *za Oceanem* **1 dolar.**
Redakcya i Administracya „Pracy" znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr 295.

Manuskryptów nie zwraca się.

Od Redakcyi.

Zwracając się dziś do szanownych naszych Czytelników z zaproszeniem do przedpłaty, jedną mamy do nich głęboką a serdeczną prośbę: aby pamiętali o tem, że sprawa nasza, — sprawa obrony naszych praw narodowych przed zalewem germańskim, sprawa politycznego uświadomienia wszystkich warstw naszego społeczeństwa — *wymaga od nas wszystkich nieustającej nigdy energii i pracy.* W ciągu ubiegłego kwartału mieliśmy niejednokrotnie sposobność wskazywać na jaskrawe dowody politycznej niedojrzałości, jakich wśród naszego społeczeństwa niebrak; a obok podnoszenia z uznaniem śladów wytrwałej i ofiarnej obywatelskiej pracy, byliśmy niejednokrotnie zmuszeni wykazywać, ile to jeszcze brak nam niestety do pożądanego stanu, gdy polityczny byt nasz opierałby się w rzeczy samej na polityczno-społecznem uświadomieniu ogółu. A jeśli tak daleko jeszcze jesteśmy od celu, jeśli tyle przeszkód wewnętrznych mamy do zwalczenia zanim z powodzeniem zwalczać będziemy mogli zewnętrzne przeciwności, to przypisać tego nie można czemu innemu, jak tylko brakowi oświaty. Brak oświaty, brak szczerze polskiego ducha i poczucia obywatelskich obowiązków wobec społeczeństwa, które przez cały wiek już walczy z wszelkiego rodzaju przeciwnościami — oto jest nasz wróg największy, oto jest owa demoniczna siła, która nad wynikiem walki z germanizacyą kreśli dla nas straszny znak zapytania, niepewność i wątpliwość, czy zwyciężymy...

Każde społeczeństwo jest już na drodze do poprawy i do normalnego rozwoju, skoro tylko uświadomi sobie swe wady i błędy, skoro rozpozna, którędy iść powinno, aby dojść do celu. Da się to powiedzieć w całej rozciągłości o naszem społeczeństwie, w którem zdrowa krytyka, reprezentowana przez naszą prasę, wskazuje drogę rozwoju i lepszej przyszłości.

Lecz prasa nasza jest bezsilna o ile usiłowań jej nie popiera cała energia zdrowo myślącego ogółu. Nasze pisma, będąc w obecnem położeniu naszem niemal jedynemi reprezentantami tego rozpoznania prawdziwych potrzeb naszych, które jest warunkiem zdrowego rozwoju, opierać się muszą na szczerem, żywem i skutecznem poparciu obywateli, którzy pragną dobra kraju i poprawy stosunków.

Jeśli chcemy, aby u nas działo się lepiej, musimy doprowadzić do tego, aby cały ogół uświadomić sobie, w którą stronę dążyć należy, — czego unikać, — z czem walczyć, — jak siły w sobie wyrabiać. Uświadomienia tego źródłem jest dziś prasa, są gazety polskie. *Kto więc pragnie poprawy stosunków, powinien popierać usilnie pisma polskie, tembardziej, że pod tym względem niesłychanie dużo jest jeszcze do zrobienia.*

Zapewne niejednemu z Czytelników „Pracy" nasunęły się już te myśli z powodu dobiegającego końca kwartału. Nie wątpiąc jednak o tem, uważamy za swój obowiązek tu podkreślić, że *obowiązkiem każdego Polaka dbającego o dobro i przyszłość kraju jest popieranie pism polskich,*

Twierdzenie to stawiamy zasadniczo, nie zastosowując go do żadnego pisma specyalnie, a tem mniej do siebie samych, do „Pracy". Zapewne — staraliśmy się pracować w imię dobrej sprawy, ile nas stać na to. Nie lękaliśmy się ani nowych procesów, ani nowych kosztów, aby tylko każdemu naszemu słowu zapewnić drogę do serc ogółu; kierowaliśmy się zawsze względami na dobro społeczne, na dobro narodowe, nigdy zaś nie hołdowaliśmy prowincyonalizmowi, a tem mniej jakimś celom prywatnym; byliśmy pismem niezależnem od stronnictw i osobistości i tę niezależność naszą wypisaliśmy niejako na sztandarze naszym, mówiąc, że *„Praca" ma być pismem dla wszystkich.*

Jakie obok tego mogliśmy mieć wady, jakie braki mogli dostrzedz nasi Czytelnicy — to znów inna kwestya. Ze szczerem sercem zapewnić możemy, że każdą dobrą radę przyjmowaliśmy z pełną gotowością — a jeśli kiedy siły nie dopisały, to niech nas za to Czytelnicy sądzą.

Wstępujemy w ten nowy kwartał z tą niezachwianą wiarą, że droga, po której idziemy i prowadzimy za sobą tysiące naszych Czytelników, jest jedynie dobrą i z drogi tej nie zejdziemy. Przewodzić nam będzie zawsze gwiazda, której blask nie zagasa — *dobro narodowe* — a drogą do celu będzie nam budzenie *miłości bratniej i ducha obywatelskiego, zgody i solidarności, zdrowej rady i wskazywania ideałów,* ku którym każdy Polak bez różnicy pochodzenia prowincyonalnego, bez różnicy stanu i wykształcenia dążyć powinien.

Dotychczasowe wyniki moralne naszej pracy są nam rękojmią, żeśmy zdołali trafić do serc i umysłów i obudzić duchy do pracy. Przy „Pracy“ więc da Bóg spotkamy się w jeszcze liczniejszem gronie w przyszłym kwartale. *Redakcya.*

Nasi politycy.

Polityka nasza wobec Niemców, a specyalnie wobec Prusaków, nie odznacza się nigdy konsekwencyą i przystosowaniem do potrzeb chwili i położenia naszego. Rządziliśmy się zazwyczaj pięknemi teoryami, nie opierając ich na gruncie realnej rzeczywistości. Było tak, odkąd Księstwo Poznańskie istnieć zaczęło, jest tak — aż do ostatnich czasów.

Gdy na gruzach niezależnego Księstwa Warszawskiego ufundowano w początkach bieżącego stulecia nasze „Księstwo Poznańskie“, politykę naszą zainaugurowaliśmy od wyrazów gorącej sympatyi dla Prusaków i ich króla. Gdy wojska pruskie wkroczyły w mury Poznania, zkąd jeszcze od owych czasów nie wyszły — arcybiskup Gorzeński odprawił dziękczynne nabożeństwo, a senator-wojewoda Wybicki podczas uczty wyprawionej przez Polaków wzniósł toast na cześć „najmiłościwszego monarchy króla pruskiego.“ Z wielką pompą odbywało się zdejmowanie orłów polskich z gmachów publicznych.

Było to w roku 1815.

Od owego czasu polityka ugodowa, jakby epidemia jaka, wracała peryodycznie do Księstwa i zatruwała umysły i serca. Niestety, w historyi Księstwa nie znajdziemy ani jednego przykładu, aby epidemia ta ustąpiła kiedykolwiek sama z siebie: zawsze dopiero zimny strumień trzeźwiącej wody — polityka pruska wobec Polaków — musiała przyprowadzać do przytomności oszołomione społeczeństwo.

Po śmierci Fryderyka Wilhelma III, a przy wstąpieniu na tron jego następcy, Fryderyka Wilhelma IV, społeczeństwo, wytrzeźwione na czas krótki rządami Flottwella, na nowo popadło w manię ugodową. Łudzono się nadziejami, że „król sprzyja Polakom“ i że wkrótce położenie się polepszy. Łudzono się — było to w roku 1840, dopóki wypadki roku 1846 nie zdarły zasłony z zamiarów rządu pruskiego wobec Polaków. Było to drugie wytrzeźwienie.

I znów niedługo ono trwało. We dwa lata później, w 1848 roku, gdy pamiętne powstanie postawiło kwestyę bytu i samodzielności Księstwa na ostrzu noża, znów złudzenia w możliwość zgody z Prusakami sparaliżowały wszelkie inne zamiary. Znów się łudzono.

Jesteśmy więc narodem, który sztukę łudzenia się doprowadził doprawdy do perfekcyi. Gdy komendant miasta nas bije, wmawiamy w siebie, że dzieje się to bez woli generała komenderującego; gdy ten zaś okaże się jeszcze gorszy od swego podwładnego, jesteśmy prawie pewni, że dzieje się to bez wiedzy i woli ministra. Gdy minister się przeciw nam oświadcza, krzyczymy głośno, że dzieje się to wbrew woli monarchy. Gdy zaś i ten wszystko pochwali — mówimy: aha — on jest źle poinformowany.

Tak było w roku 1848, tak było i w pół wieku później. Dopiero gdy przyszedł Pfuhl — gdy w strugach krwi niewinnej, w katowaniu batogami i w wypalaniu znaków kamieniem piekielnym ujrzeliśmy jaskrawe dowody sympatyi pruskich — otworzyły się nam na czas jakiś oczy i skwitowaliśmy z ugody z Prusakami.

Historya się powtarza. To, co się działo na początku i w połowie stulecia — powtórzyło się też — z równym skutkiem — i pod koniec stulecia, za czasów „naszej“ polityki ugodowej pod firmą Kościelski i Ska. Niema potrzeby rozważać dziejów tej fazy politycznego rozwoju Księstwa, która zakończyła się niebywałym dotychczas atakiem Prusaków na wszystko, co polskie. Szkoda tylko, że ci, co u steru stali, nie chcieli z historyi zaczerpnąć nauki, że *z Prusakami niema zgody*, a więc i *ugody* być nie może.

Lecz, niestety, było i jest to wadą naszych polityków, że idąc utartemi śladami swych poprzedników, nie domyślają się nawet, że — *wszystko to już było* — i z przeszłości nie czerpią zbawiennej przestrogi i nauki, sądząc, iż narodowi nowe wskazują drogi. Tymczasem odkrywają Amerykę po raz... setny.

Jednakowoż jeśli ktoś, czy to wskutek swego osobistego lub odziedziczonego stanowiska społecznego, chce wpływać na politykę całego społeczeństwa, ten przedewszystkiem powinien zrozumieć, że zamiar taki wkłada na niego obowiązek poważnego rozpatrzenia się i w sytuacyi i w historyi.

Z apostrofą tą zwracamy się bynajmniej nie do przywódzców byłej parlamentarnej polityki ugodowej, — akta jej bowiem uważamy za zamknięte, a zresztą z miny jej wodzów widać aż nadto, że nauka w las nie poszła, i że dziś myślą o ugodzie tak samo jak n. p. i my myślimy.

Natomiast uważamy za obowiązek publicystyczny zwrócić się do tych epigonów polityki ugodowej, którzy po dziś dzień nie wyrzekli się utopii politykowania na gruncie ugody polsko-niemieckiej.

Zapewne niejeden z czytelników zdziwioną zrobi minę, czytając te słowa: czyż bowiem można przypuszczać, aby dziś w naszem społeczeństwie mogły się znaleść jednostki tak dalece żyjące w świecie teoryi i abstrakcyi, aby w jakikolwiek sposób inaugurować miały nową edycyę polityki ugodowej.

A jednak tak jest. Jedno słowo wystarcza za dowód: „*Posener Neuste Nachrichten*“.

Gdy pismo to miało powstać, przedsiębiorca, któremu nie można odmówić wielkiej dozy sprytu, zapukał do grona obywateli polskich. I oto pod hasłem wywierania dobroczynnego wpływu na społeczeństwo niemieckie, założono w części za polskie, w części za niemieckie pieniądze owe „*Posener Neueste Nachrichten*“. Interna tego przed-

siębiorstwa nic nas nie obchodzą, o ile nie dotyczą sprawy publicznej, więc nie wymieniamy tu sumy, na jaką „panowie“ polscy podpisali weksle gwarancyjne. Dość, że kupiono maszynę rotacyjną i t. d. i z wielką pompą zaczęło funkcyonować nowe pismo.

Co za różowe nadzieje zaczęły kołysać do snu „naszych polityków!“ Im się zdawało, że odkryli nową dziedzinę, w której wreszcie zbudowany zostanie nowy pomost porozumienia między Polakami a Prusakami, — a w ten sposób ostatecznie uregulowana kwestya polska! Ileż to mów gorących na prywatnych bankietach, ileż gromów padło na głowy tych, co nie chcieli wierzyć w sens tego całego projektu!

I oto się stało z tymi małymi politykami to samo, co się stało kilkakrotnie z dużymi. Ugoda wzięła w łeb, a koszta muszą płacić Polacy.

Ci nasi mali politycy z „*Posener Neueste Nachrichten*“ szczęśliwie już zapłacili swoje weksle, dopłacą jeszcze coś do tego i za to dostali — chyba prawo do nieprzyznawania się do tego, że tak strasznie się zblamowali.

Czemże są dziś bowiem „*Posener Neueste Nachrichten*“, założone poczęści za polskie pieniądze? Są pismem szczerze żydowskiem. Spełniają swój program wybornie, nie stoją po stronie Polaków, ani Niemców, są bezstronne — bo stoją po stronie żydów. Kto czytuje np. opisy zajść w Chojnicach, ten łatwo to sprawdzi, gdyby nie miał przedtem tego zauważyć.

A wobec Polaków?

Aby wobec tych naszych polityków, z których naturalnie żaden się nie przyzna, ile zapłacił *już* na to pismo, a ile zapłaci *jeszcze,* nie stawiać ogólnikowych twierdzeń, jeden przytoczymy fakt. Gdy jedna z poważnych poznańskich firm polskich dla przekonania się o lojalności tego pisma wobec Polaków chciała obok niemieckiego umieścić *polski tekst swego ogłoszenia,* odpowiedziano jej w podoficersko-pruskim tonie: „*hier werden nur deutsche Annoncen angenommen*“.

Ale swoją drogą, gdy chodziło o pieniądze, to były również chętnie „*polnisch angenommen*“.

Jeszcze lepsze zaś próbki pożytku dla sprawy polskiej dostarczyły „Pos. Neueste Nachr.“ przy wyborach do rady miejskiej, urządzając biuro wyborcze w Starym Rynku, ażeby skutecznie zwalczyć kandydaturę polską p. Mniszewskiego, a zapewnić zwycięztwo żydowskiemu kandydatowi. Toż to świetny los polskich funduszów! Cóż one znaczą w ręku tych, którzy jednocześne Panu Bogu świeczkę zapalają, a djabła też nie chcą obrazić?

Tak wyglądają owoce pracy ugodowej naszych polityków.

Wydawcę wspomnianego pisma, pana Wagnera, trudno tu o coś oskarżać. Owszem. Kto jest tak naiwny, jak nasi politycy od „*Pos. Neuest. Nachr.*“ (a są między nimi byli posłowie) — ten nie zasługuje na to, aby odegrał inną rolę, jak rolę cegiełki, po której ktoś mądrzejszy na wyższe szczeble się dostaje.

Ale bądź co bądź sprawa ta ma bardzo ważną stronę społeczną.

Widzimy oto, że w naszem społeczeństwie na każdym kroku brak grosza, brak funduszów na najgwałtowniejsze potrzeby: na szkółki ludowe, na czytelnie, na budowę domów dla towarzystw, na spółki wytwórcze, na tysiące innych gwałtownych potrzeb, których szereg jednym tchem wymienić można — a tu owi „politycy“ wyrzucają pieniądze na niemieckie pismo....

Wstyd i jeszcze raz wstyd! Niech tu nikt nie mówi: to grosz prywatny — wolno mi robić z nim co mi się podoba. To nieprawda! Im z tym groszem *nie wolno* robić co im się podoba, tak samo jak sprzedawczykom ziemi na kolonizacyę nie wolno jej sprzedawać, choć to ich prywatna własność! Jeśli ten i ów chciał koniecznie pozbyć się tych pieniędzy, dlaczego nie dał ich na jakie popularne wydawnictwo ludowe, których nam brak tak bardzo!?

Zdziwi to może niejednego, dlaczego dopiero dziś po upływie roku tego bezwstydnego szastania pieniędzmi polskimi, poruszamy tę sprawę. Musieliśmy czekać, bo w razie przeciwnym by nam ci panowie-politycy rzekli: „Przez wasz artykuł zepsuliście nasze zamiary; ale gdyby nie wy, świat by zobaczył, coby z tego pisma było.“

Teraz, gdy rok minął, — gdyśmy rok czekali ścisnąwszy zęby, aby głośno nie syknąć z oburzenia — teraz pytamy: *Pokażcie i nam wasze plony! Niech je świat ogląda, wy, nasi wielcy politycy!*

Vester.

Bankructwo polityczne.

Dla uświadomienia hańby politycznej, jaką okryło się Koło polskie w Austryi za sprawą swego prowodyra, p. Apolinarego Jaworskiego, trzeba koniecznie sobie przypomnieć te czasy, gdy na czele rządu stał hr. Badeni i staczał mężnie walki z obstrukcyą niemiecką, ze zgrają zwyrodniałych osobników, warchołów politycznych, bezecnych najemników „hakaty“ austryackiej, plując śliną wściekłości teutońskiej na wszystko co polskie, na wszystko co słowiańskie.

Rzucali oni wówczas w oczy Polakom obelgi najwstrętniejsze, zaliczali naród polski do narodów pośledniejszych, skazanych na służalstwo, a przeznaczonych przez samą Opatrzność do chodzenia wiecznie w jarzmie niemieckiem.

Na obelgi te posłowie polscy — chłopi odpowiadali niemieckiej zgrai tak jak na to zasługiwała, to jest: policzkami, kijem i pięścią, i tylko hr. Badeni, powodowany zbytnią rycerskością, zniżył się do rozprawy honorowej z jednym z takich przywódzców ulicy w parlamencie. Mówili oni wówczas jawnie o zdradzie stanu, o rozerwaniu Austryi na strzępy na rzecz Prusaków, którzy przyklaskiwali pocichu robocie swoich agentów. — Nikt się wówczas nie troszczył o całość państwa, nie utworzyła się koalicya w parlamencie, by wyrzucić po za nawias tę zgraję łotrów, którzy podszywając się pod szowinizm patryotyczny, uprawiali najwstrętniejszą szacherkę ze swo-

ich stanowisk, wyprzedając swe znaczenie poselskie na raty, za łyżkę barszczu, za beczkę piwa, za guldeny, wyłudzane — rzekomo na obronę zagrożonej niemczyzny.

Czasy to zbyt świeże, by o nich zapomnieć, by nie pamiętać tego nastroju oburzenia nietylko wśród słowiańskich ludów Austryi, lecz i wśród wszystkich Polaków mających wiekami nieprzedawnione ciężkie porachunki z niemczyzną. Gdyby kto wówczas, wobec tego powszechnego oburzenia ośmielił się przypuścić, że nie upłynie lat parę a ci sami Polacy nietylko, że pogodzą się z Niemcami, lecz co więcej pójdą do nich w służbę i zdradzą swoich uciśnionych pobratymców Czechów, nietylko już za garść wartościowych srebrników, lecz za fałszywe liczmany rzekomych korzyści politycznych — rzuconoby mu niewątpliwie ze strony polskiej protest wzgardy i politowania.

A jednak tak się stało...

Powiadają, że polityka wyklucza wszelką uczciwość, nie wyłączając nawet poczucia sprawiedliwości — przypuśćmy!... Winna być w niej wszakże celowość, jakaś wreszcie idea polityczna, dla której można niekiedy poświęcić to i owo, jakieś chwilowe korzyści, jakieś, obliczone na krótszą metę, rachuby.

Tymczasem w polityce Koła polskiego żadnego z tych względów nie było: zbiegiem szczęśliwych okoliczności wyrobiło ono w sobie znaczenie przemożne, tak dalece, że głos jego ważył wielce na szali wewnętrznej polityki w Austryi. Utrzymać to stanowisko jak najdłużej, a wytrwawszy w tej roli decydującego rzecznika w sprawach państwa zmusić Niemców do uznania, że nie oni jedni tylko znaczą w państwie i że Austryą można rządzić — jak to powiedział niegdyś minister Dunajewski — nietylko bez Niemców, ale nawet przeciwko nim...

W tem właśnie leżała celowość Koła polskiego, która mogła być osiągniętą jedynie przy utrzymaniu jedności prawicy, gdzie Koło łącznie z Czechami mogło liczyć zawsze na stanowisko decydujące o losach państwa, obronne, siłą tej właśnie jedności, przeciwko wszelkim zakusom przemocy niemieckiej. Prowodyr Koła polskiego, zniepra wiony służalczem dworactwem starzec, tego niezrozumiał i gwoli przypodobania się koronie a ewentualnie Niemcom dał się z całą naiwnością wziąć na wędę usłużności i zerwawszy sojusz z Czechami, wypowiedział im wojnę, czem podminował jedność prawicy, tej właśnie siły, przed którą Niemcy radzi nie radzi kornie głowę skłaniać musieli.

I stało się to, co było łatwo przewidzieć — nie tylko że prawica została rozbitą, lecz Koło polskie przymknęło do nowej koalicyi, złożonej z liberałów i socyalistów, inaczej mówiąc oddało się z duszą i z ciałem w służbę Niemców.

Dalej na drodze bankructwa politycznego zajść było nie sposób; większego nadto upadku moralnego stronnictwa, którego świętym obowiązkiem było stać na straży interesów ludów słowiańskich w Austryi — odnaleść w historyi parlamentaryzmu trudno.

Hańbiące to odstępstwo nie przyniosło na szczęście spodziewanych owoców, nietylko bowiem, że obstrukcya czeska nie została zwalczoną, mimo wybiegów parlamentarnych, lecz w pierwszym swym debiucie okazała się tak skuteczną, że zniewoliła prezesa ministrów uciec się do ostatniego środka, do utartego szablonu nieudolnych sterowników nawą państwową, a mianowicie do zamknięcia sesyi Rady państwa.

Odtąd krok tylko jeden do rozwiązania Izby i do wprowadzenia rządów na mocy § 14.

„Poświęcenie się“ więc p. Jaworskiego poszło na marne, nietylko bowiem, że nie zdołał on wyświadczyć przysługi rządowi i koronie, lecz i naraził siebie i członków Koła na ewentualną utratę mandatów poselskich, o utrzymanie których tak mu chodziło. Niema bowiem najmniejszej wątpliwości, że dzisiejszej sromoty politycznej, na którą dobrowolnie skazało się Koło, wyborcy polscy w Galicyi nigdy nie przebaczą i że żaden z dzisiejszych posłów nie ostoi się na swojem stanowisku.

I w tem właśnie leży nadzieja, że polityka przyszłych wybrańców narodowych wejdzie na inne tory i że rozerwany dziś brutalnie sojusz polsko-czeski nawiąże się znów i utrwali na zawsze.

Zapowiedzią tego pożądanego zwrotu dla wszystkich ludów słowiańskich w Austryi było entuzyastyczne przyjęcie delegatów czeskich, przybyłych na uroczystość jubileuszu Wszechnicy Jagiellońskiej do Krakowa. Był to gorący, serdeczny protest przeciwko pełnej sromoty polityce p. Jaworskiego i jego adherentów.

Stańczycy więc w Galicyi stracą ostatecznie grunt pod nogami, podobnież jak się to stało z ugodowcami w Prusiech, którzy z służalstwa dla rządu w Berlinie wyszli sponiewierani przez Niemców i okryci pogardą przez współziomków.

Jest to nieunikniony los tych wszystkich, co nie umieją uszanować nietylko swej własnej, lecz i narodowej godności, dla której w przyjaźni z Niemcami miejsca nigdy nie było i nie będzie!

N. P.

Uroczystość Bożego Ciała.

Twoja cześć, chwała, nasz wieczny Panie
Na wieczne czasy niech nie ustanie.
Tobie dziś dajem z wojskiem tych ludzi
Pokłon i pienie, my Twoi słudzy...

Uroczystość Bożego Ciała jest najwspanialszą ze wszystkich całego roku kościelnego. Jest ona tak podniosłą i rzewną, że każdy, kto głębiej się nad nią zastanowi, kto ją rozważa po katolicku, wołać musi z psalmistą. „Panie, Panie, Boże nasz, jakże dziwne jest imię Twoje po całym świecie! Cóż jest człowiek, że o nim pamiętasz, albo Syn człowieczy, że go nawiedzasz? Wtedy to świat staje się niebem, bo wie, że Ten, który jest rozkoszą i podstawą szczęścia niebian, jest między ludźmi obecny, a taki łaskawy, taki dobry i cichy, przygarniający do siebie każdego, kto się doń zbliży, wysłuchujący każdego prośby wołania...

W uroczystość Bożego Ciała obchodzimy pamiątkę ustanowienia Najświętszego Sakramentu i Mszy Świętej. Wprawdzie, w Wielki Czwartek ustanowił Pan Jezus tę tajemnicę, ale że w ten dzień Kościół św. zajęty był rozważaniem męki Jezusa, przeto na obchód tak radosnej tajemnicy, ustanowił uroczystość, Bożego Ciała a wybrał do tego najprzyjemniejszą porę roku, kiedy lato w całej pełni, kiedy cała ziemia pokryta kobiercem różnorodnych kwiatów i roślin, jakby ubrana na przyjęcie Boga Człowieka w Najśw. Sakramencie utajonego. Nietylko bowiem święcimy w Boże Ciało pamiątkę ustanowienia Najśw. Sakramentu, ale publicznie w najuroczystszy sposób cześć, na jaką tylko zdobyć się możemy, oddajemy Mu. Obnosimy w najwspanialszej procesyi Pana Jezusa po ulicach miast i wsi i wiarę naszą w Niego wyznajemy wobec różnych niedowiar-

ków, wobec nieba i ziemi. Wierzymy i wobec całego świata wyznawamy, że Jezus Zbawiciel nasz, jest utajony w Najświętszym Sakramencie, jako żywy i prawdziwy Bóg, jako żywy i prawdziwy człowiek. „Ach, Najśw. Sakramencie, wołał pewien pisarz kościelny — to największa i najdroższa tajemnica wiary, to cud niesłychany, zgromadzenie niepojętych dziwów Bożych, wysiłek miłości Chrystusa ku ludziom, niepojęte wywyższenie człowieka, a niepojęte uniżenie Boga, niepojęte objawienie potęgi, mądrości i dobroci Bożej. Pójdźcie a oglądajcie sprawy Pańskie, jakie uczynił, cuda na ziemi“ (ps. 45,9); tak już król Dawid w duchu proroczym oznajmił światu te dziwy. Tu widzialne istoty chleba i wina w jednej chwili (przez wymówienie słów konsekracyjnych przez kapłana) przemieniają się w Ciało i Krew Jezusa Chrystusa; tu postacie chleba i wina, choć odłączone od istoty swojej, pozostają przecie jakby zawieszone w powietrzu. Tu Bozkie Ciało Zbawiciela, to samo Ciało, które wisiało na krzyżu mieszka zamknięte w ciasnym obrębie hostyi.

Do szczególnych obrzędów uroczystości Bożego Ciała, należy we Mszy Św. benedykcya czyli błogosławieństwo Najświętszem Sakramentem przed Ewangelią a po Epistole. Kapłan znosi z tronu Najśw. Sakrament, po zwykłem okadzeniu, bierze go do rąk i śpiewa dalszy ciąg czytanych poprzednio przez się, a przez chór śpiewanych słów „Ecce panis Angelorum“ co znaczy — „Oto chleb aniołów“ stał się pokarmem podróżnych, prawdziwy chleb niech psom nie będzie rzucony“ itd. Po zaintonowaniu ostatniej zwrotki hymnu udziela kapłan błogosławieństwa wiernym, zebranym w kościele, monstrancyę z Najśw. Sakramentem stawia na tronie i śpiewa Ewagelię, jak zwykle.

Drugim szczególnym obrzędem tej uroczystości jest procesya, do ołtarzów, które stroimy po ulicach wsi lub miast. Przy każdym z tych czterech ołtarzów śpiewa się początek Ewangelii czterech Ewangelistów, to jest Św. Mateusza, Św. Łukasza, Św. Marka i Św. Jana na oznaczenie, że wszystkie narody powołuje Chrystus do wiary i że wszyscy Ewangieliści zgadzają się z tem, że w Najśw. Sakramencie dał nam Pan Jezus prawdziwe Ciało i Krew Swoją na pokarm ku żywotowi wiecznemu. Przytoczmy choć początek z jednego ewangielisty, mianowicie Św. Jana. Apostół ten w ten sposób podaje słowa Pana Jezusa o Najśw. Sakramencie:

Onego czasu mówił Jezus rzeszom żydowskim: „Albowiem Ciało moje prawdziwie jest pokarmem, a Krew moja prawdziwie napojem. Kto pożywa mego Ciała i pije Krew moją, we mnie mieszka, a ja w nim. Jako mię posłał żyjący Ojciec i ja żyję dla Ojca, a kto mię pożywa i on żyć będzie dla mnie. Ten jest chleb, który z nieba zstąpił. Nie jako Ojcowie wasi jedli mannę i pomarli. Kto pożywa tego chleba, żyć będzie na wieki.*) Gdy procesya wraca od ostatniego ołtarza do kościoła, śpiewa się po łacinie responsorjum „Melchisidech;“ podczas tego śpiewu kapłan udziela błogosławieństwa Najśw. Sakramentem. Procesya, jak zwykle, kończy się hymnem „Te Deum laudamus.“

Praojcowie nasi, jak wogóle wszystkie uroczystości kościelne, tak i tę odbywali z nadzwyczajną okazałością; pozostawili oni nam w spuściźnie kilka pięknych pieśni, w których jakby w katechizmie zawarta nauka o Najśw. Sakramencie. Tryska z nich wiara żywa, namaszczenie, prostota, prawdziwa pobożność. Jedna z tych pieśni w ten sposób opiewa procesyą Bożego Ciała:

Zróbcie Mu miejsce — Pan idzie z nieba
Pod przymiotami — ukryty chleba.
Zagrody nasze widzieć przychodzi,
I jak się dzieciom jego powodzi.

Otocz Go wkoło rzeszo wybrana,
Przed swoim Bogiem zginaj kolana,
Pieśń chwały Jego śpiewaj z weselem,
On twoim ojcem, on przyjacielem.

Nie dosyć było to dla człowieka,
Że na ołtarzu codzień go czeka;
Sam ludu swego odwiedza ściany,
Bo nawykł bawić między ziemiany.

Uściełajmy więc kwiatami drogi,
Któremi Pana iść będą nogi,
Okrzyknijmy to na wszystkie strony
Wpośród nas idzie błogosławiony.

On winy nasze darować lubi,
Jego się wsparciem pokutnik chlubi;
W domu i w polu daje nam dary
Serc tylko naszych żąda ofiary.

Niesiemy Ci je, Boże, niesiemy!
Daruj nam łaski, sercać dajemy.
I tej odmiany między stronami
Niebo i ziemia będą świadkami.

Uroczystość Bożego Ciała ustanowioną była w drugiej połowie trzynastego wieku przez papieża Urbana IV (roku 1264), a to wskutek objawienia zakonnicy bł. Johanny z Mont Cornillon. Uroczystą procesyę do ołtarza odprawiać nakazał papież Jan XXI w roku 1316.

Ks. W. Bugajczyk.

*) Ustęp ten czyta się we Mszy św. jako Ewangelię.

Z pamiętnych chwil.

Bitwa pod Miłosławiem.

(Dnia 30go kwietnia 1848go roku.)

II.

Przy stodołach folwarku Bugaja zatrzymała się druga grupa strzelców, wśród których był Mierosławski. Starał się on nakierować odwrót na drogę ku Nowemu-miastu, ale nie był w stanie opanować wojska w rozsypce.

Zdawało się, że już niepodobna odzyskać Miłosławia. Gromadka strzelców z Domagalskim, Gabryelskim i częścią oddziału Goślinowskiego dotrzymując placu Prusakom, znalazła się wreszcie odcięta zupełnie od swoich, bez możności odwrotu, w Bazarze. Pozamykawszy drzwi i okna, nie mając innego sposobu uratowania życia, siedziała więc ta gromadka cicho w nadziei, że ujdzie baczności nieprzyjaciela i to jej się udało.

Tymczasem dzięki zabiegom St. Ponińskiego, Oborskiego i kapitana Langego zdołano zebrać i uszykować w okolicy Bugaju około 600 kosynierów i część strzelców. Brzeżański zatrzymał i przyprowadził do ładu jazdę miłosławską, około 150 koni. Tylko szwadron Adolfa Malczewskiego, jak się rozpędził, zajrzawszy w oczy konnicy pruskiej, tak niepowstrzymanie leciał na złamanie karku, minął Miłosław, minął pole za Miłosławiem, potem las dwumilowy i wciąż pędził, aż stanął nad brzegami Warty i potem przy domowych ogniskach szukał ukojenia po przebytych niebezpieczeństwach ucieczki...

W samą porę zebrały się siły polskie w okolicy Bugaju, bo właśnie gdy jazda pruska biegła, aby gromadzące się na nowo szyki rozproszyć, z lasu wyłoniło się czoło kolumny Białoskórskiego.

Obóz pleszewski pomimo całonocnego forsownego marszu przejęty był taką ochoczością do boju, że przybycie jego odrazu przeważyło losy bitwy. Jazda zebrana przez Brzeżańskiego stawiła czoło atakowi huzarów, a szwadron pleszewski pod komendą majora Kirkora rzucił się w wir walki i pierwszym niemal impetem odrzucił w tył huzarów. Pierzchnęli huzarzy, pierzchnęli kirasyerzy, którzy za nimi stali w odwodzie i w dzikim nieładzie uciekać zaczęli do Miłosławia. Ich śladem poszli ułani i artylerya konna w tak panicznym strachu, że na zbiegu dróg pomiędzy ogrodem a winnicą od Nowego-miasta i Kozubca po własnej przejechali się piechocie i szeregi jej zupełnie zmięszali.

Za uciekającymi sypnęli ułani polscy. Całe wybrzeże boru zagrzmiało jednym okrzykiem: „Uciekają!“ Chcąc spróbować odzyskania straconego Miłosławia poprowadził Brzeżański strzelców na

nowo ku miastu. Porwała się i piechota nowomiejska, aby się połączyć z oddziałami Oborskiego i Ponińskiego. Przy tym zaczepnym zwrocie został raniony wystrzałem Garczyński, a uciekający huzarzy kilku cięciami pałasza zranili Wł. Kosińskiego, szefa sztabu nowomiejskiego.

Na całej linii rozpoczął się ogień na nowo. Piechota pruska zajęła folwarczne budynki na Bugaju i mocno zaczęła prażyć Polaków z tego dogodnego stanowiska. Strzelcy jednak wyparli ją i folwark opanowali, biorąc na cel przedewszystkiem oficerów pruskich, których też niemało wtedy padło. Wyzyskując dogodne położenie, Oborski z Ponińskim rozbijają na dwa odłamy uciekającą siłę pruską, zmuszając jeden odłam do schronienia się za staw na wschodzie miasta, drugi zaś zapędzając wprost ku miastu. Lecz Blumen nie zdołał jeszcze zająć miasta rezerwą swą i artyleryą, więc też nie było się o co oprzeć uciekającym.

Rozpoczęła się w mieście zajadła walka. Prusacy, obwarowani w pałacu i około kościoła, twardo się bronili. Lange na czele strzelców rzucał się gdzie największy ogień, Poniński i Oborski ze swymi kosynierami powoli, lecz wytrwale posuwali się naprzód. Węclewski, który dowodził artyleryą, z wyżyny pomiędzy pałacem a folwarkiem dosięgając cmentarza oblewał Prusaków żelastwem, zabijał konie i ludzi, niósł zamięszanie w formujące się na nowo szeregi, dopóki miał czem strzelać.

Za ogrodem angielskim i na górze po za cmentarzem starał się Blumen jako tako formować swe rozbite siły. Widział, że dalszy opór w mieście był już bezcelowym, bo siły pruskie, rozbite na trzy części, musiały się najpierw zebrać i policzyć, więc też kazał się cofnąć z Miłosławia. Dano trąbką znak do odwrotu. Kolumny pruskie z niezmiernym zabierały się pospiechem, uchodząc z miasta. Lecz przy wyjściu nowa Prusaków czekała niespodzianka. Przechodząc przez rynek koło Bazaru niespodziewanym a silnym zostali przyjęci ogniem. To strzelcy, ukryci w Bazarze, widząc przez otwór zrobiony w dachu, że Prusacy się cofają, przygotowali się do strzału i czem kto mógł, loftkami, śrutem i kulami pukali ze swej kryjówki do zbitych szeregów, pewni, że żaden strzał się nie zmarnuje. Widząc w tem zasadzkę, nie znając sił nieprzyjaciela, Prusacy do tłumnej rzucili się ucieczki i w największym nieładzie opuścili Miłosław.

W całym boju poległych i rannych było do trzystu Prusaków, Polaków zaś ze dwustu. Do niewoli prawie że nie brano wcale.

Gdy Prusacy w popłochu zaczęli się cofać, największy cios im można było zadać pogonią. Byłoby to dopiero właściwe wyzyskanie niespodziewanego zwycięztwa, w którem pięć tysięcy regularnego wojska pruskiego ustąpiło z placu przed trzema tysiącami ochotników. Ale wojsko było zanadto strudzone. Była godzina trzecia po południu, gdy Prusacy zabrali się do odwrotu, — żołnierz był strudzony i głodny, konie nie dostały obroku, ładunków brakło. Wojsko miłosławskie i nowomiejskie dwanaście godzin było pod bronią, obóz pleszewski, który maszerował całą noc i bił się potem w najsilniejszym ogniu upadał ze zmęczenia.

Mierosławski chciał zorganizować jakiś pościg, ale komendant szwadronu pleszewskiego wymówił się od tego, a Brzeżański z gburowatością prostoduszną starego posiwiałego w bojach żołnierza, wymyślał od „osłów co się nie znają na koniach“ każdemu, kto się zbliżył do niego z propozycyą pościgu Prusaków.

Chciano wysłać choćby ze dwieście ludzi, zaopatrzonych w zdobyte na Prusakach karabiny, ale zanim ustawiono przed pałacem dziesięć rot, osiem znikało szukając jedzenia.

W kilkanaście więc koni ruszył Mierosławski za nieprzyjacielem, aby przynajmniej obserwować jego ruchy, ale po chwili zwołano go do obozu wieścią, że się szykuje jakaś rewolta.

Pierwszą wieścią, która go na wstępie doszła, była wieść, że Białoskórski opuścił obóz. Wręczono mu od Białoskórskiego karteczkę z oświadczeniem, że brakiem rozporządzeń w czasie boju tak się zraził, iż składa dowództwo swego oddziału. Za przykładem Białoskórskiego poszło kilkudziesięciu szlachty w szarżach oficerskich. Opuścili oni obóz wśród zarzutów rozmaitego rodzaju, robionych Mierosławskiemu.

Na wieść o rozsypce starszyzny strzelcy i kosynierzy wpadli w wściekłość. Wśród przekleństw i pogróżek szukały bandy, potworzone z regularnych oddziałów, zemsty i krwi łaknęły. Wkradła się do obozu zupełna dezorganizacya. Rzucono się na rabunek domów, splądrowanych już przez Prusaków. Nikt nie powstrzymywał, nikt nie umiał siły powstrzymać. Jedna z tych band rzuciła się wreszcie na aptekę przy rynku, jedyny dom, dotychczas uszanowany, gdzie złożono rannych Polaków i Prusaków. Na progu stanęło kilku oficerów z emigracyi i Moabitczyków, broniąc dostępu ostatecznym wysiłkiem. Żadną prośbą, żadnym rozkazem nie można było powstrzymać napastników. Wreszcie Mierosławski, czując, że ostatecznym środkiem stłumić trzeba w zarodku bunt, który się mógł przerodzić w wojnę bratnią, wypalił z pistoletu i położył na miejscu trupem jednego z żołnierzy, który już go za gardło chwytał.

Krótkiem energicznem wezwaniem do rozejścia się w spokoju zapobiegł Mierosławski dalszym rozruchom. To zabicie żołnierza zostało mu przez niechętnych za grzech nowy poczytane. Nazajutrz kilku nowych oficerów opuściło szeregi.

Dr. Kazimierz Rakowski.

Z TYGODNIA.

Ubiegły tydzień polityczny obfitym był w różnego rodzaju niezwykłe wypadki na horyzoncie politycznym. Nietylko Afryka, gdzie wojna Anglików z Boerami ma się już obecnie ku końcowi, ale i w Azyi, a wreszcie i w naszej starej Europie zaczynają się ukazywać coś jakby iskry z pod popiołów pozornego spokoju.

Jakeśmy już donosili, Anglicy ostatecznie się stali panami placu boju. Boerowie lada dzień ostatecznie ulegną. Cesarz Wilhelm przesłał królowej Wiktoryi serdeczne powinszowanie z powodu pogromu Boerów. Cztery lata temu również winszował prezydentowi Krügerowi zwycięskiego odparcia napaści angielskiej. Od tego czasu o tyle więc się stosunki zmieniły. Swoją drogą wiele gazet niemieckich nie chciało wierzyć, aby tak szybko mogła się dokonać zmiana w zapatrywaniach rządu na sprawę anglo-boerską.

Cesarski rząd niemiecki jest obecnie w różowym humorze z powodu przyjęcia projektu powiększenia marynarki przez parlament niemiecki. Sprawa ta tak gładko poszła rządowi, jak żadna dotychczas, — a do przeprowadzenia projektów rządowych przyczyniło się przeważnie centrum, które z całą gotowością oddało swe głosy za projektem rządowym. Wogóle z dniem każdym zyskujemy nowe dowody, że centrowcy po śmierci starego Windhorsta oddalają się coraz bardziej od nakreślonego programem celu, natomiast gorliwie się starają o łaski rządu. Zwrot ten w wielkiej mierze przypisać należy kardynałowi księciu biskupowi Wrocławskiemu Koppowi, który zainaugurował tę swego rodzaju „ugodową politykę“ z rządem pruskim i był jednym z decydujących czynników przy przyjęciu projektu marynarkowego. — Co do naszych posłów, to jakkolwiek przyjęcie już nie ulegało wątpliwości stawiło się dwóch na posiedzenie i głosując *przeciw* projektowi zadokumentowało stanowisko ludności polskiej w tej sprawie.

Swoją drogą rząd niemiecki szczęśliwie trafił ze swym projektem marynarkowym. W Chinach bowiem, gdzie też naturalnie i Niemcy mają swe interesy (bo gdzieżby zaś oni ich nie mieli!) wybuchło groźne powstanie i wszystkie mocarstwa europejskie mające z Chinami jakąkolwiek styczność, gotują się do obrony swych interesów. Jak się okazało obecnie, cesarzowa chińska wystąpiła otwarcie po stronie powstańców „bokserów", których celem jest wymordowanie Europejczyków i odcięcie wszelkich stosunków z Europą. Dla zachowania pozorów wojska chińskie niby to zwalczają bokserów, w rezultacie jednak, jak się okazuje, zamówione w zeszłym roku w Niemczech armaty i karabiny, w tajemniczy sposób dostały się do rąk powstańców, choć je zamówił rząd chiński. Wobec tak groźnego położenia rzeczy wojska europejskie pod wodzą angielskiego admirała Seymonda maszerują w stronę Pekinu, z którym podobno komunikacya jest całkowicie odcięta, tak iż nie wiadomo nawet, czy ambasadorów europejskich nie wymordowano. Niektórzy konsulowie zawczasu opuścili niegościnną stolicę Tymczasem zaś mocarstwa europejskie zaczynają się targować o skórę niedźwiedzia, który jest jeszcze w lesie i wadzą się pomiędzy sobą, kto ma większy kawałek Chin zagarnąć. Zapewne też na to liczy cesarzowa chińska, że państwa europejskie nawzajem się będą paraliżować w swej akcyi. Rząd francuski oświadczył rządowi chińskiemu, że czyni go odpowiedzialnym za bezpieczeństwo swych podwładnych i że w danym razie nie zawaha się siłą im zapewnić spokoju.

Gdy tak w dalekiej Azyi przygotowuje się groźna walka, w Europie wre wprawdzie bezkrwawa, ale niemniej niebezpieczna walka, od wyników której zależeć może cała konstellacya polityczna Europy. Mamy tu na myśli Austryę wraz z jej tradycyjną niemal obstrukcyą parlamentarną. Od lat kilku już regularnie następuje po sobie: obstrukcya, zamknięcie parlamentu, awantury i bójki z policyą, wreszcie dymisya ministerstwa. Nowe ministerstwo wydaje nowe rozporządzenia językowe, następuje nowa obstrukcya i tak dalej. Na tem niesłychanie cierpi całe państwo.

Teraz Czesi doczekali się tej satysfakcyi, że ich obstrukcya, wywołana Koerberowskiemi rozporządzeniami językowemi, doprowadziła do rozwiązania parlamentu. Ostatnie posiedzenie jego nie było pozbawione prawdziwie dramatycznych momentów. Cały parlament chciał cierpliwem wyczekiwaniem przemódz opór Czechów. Wtedy oni podzielili się na grupy i kolejno, gdy jedna grupa odpoczywała, druga przeszkadzała w obradach. Pojawiły się wszelkiego rodzaju instrumenty i z ich pomocą Czesi zaczęli wyprawiać takie chałasy, że na długo uniemożliwili obrady. Widząc to, Dr. Koerber opuścił „plac boju" i udał się z raportem do cesarza. Tymczasem połamano ławki i wśród piekielnej wrzawy wytrzymano do godz. 12 w nocy. Wreszcie pojawił się na sali prezes ministrów Dr. Koerber z rozkazem cesarskim, na mocy którego parlament został odroczony. Czesi przyjęli to wybuchami radości i uważają za wielkie zwycięztwo.

Nazajutrz przyszło kilku posłów czeskich do gmachu parlamentu, obejrzeli zniszczenie, którego sami byli sprawcami i oświadczyli gotowość pokrycia z własnych kieszeni szkód zrządzonych. Niemcy swego czasu taką galanteryą się nie odznaczali wcale. *K. O.*

PRZEGLĄD PRASY.

Jednogłośnie zauważyły pisma nasze, że rolnictwo i przemysł polski na wystawie poznańskiej były bardzo słabo reprezentowane. Wśród niezliczonych szeregów firm i nazwisk niemieckich zaledwie gdzieniegdzie odbijało nazwisko polskiego wystawcy.

Złożyły się na to różnorodne przyczyny. W pierwszej linii istotnie należy przyznać, że siły nasze przemysłowe są jeszcze bardzo słabe i w ogólnym postępie fabrycznym państwa niemieckiego nie bierzemy tak żywego udziału, jaki brać byśmy mogli. Ale choćbyśmy nawet ponad nasze siły się wysilili, to na wystawie, która reprezentowała wyroby przemysłu przeszło 60 milionowego narodu, nie moglibyśmy z natury rzeczy zająć pierwszorzędnego miejsca.

To też błędem byłoby ze strony prasy, gdyby chciała wmawiać w nasze społeczeństwo, że istotnie możemy się uważać pod tym względem za równych z tym wysoko przemysłowym narodem. Lecz z drugiej strony bez wątpienia należy się wystrzegać niepotrzebnego pessymizmu i niedoceniania sytuacyi naszej.

Dlatego też zauważyć należy, że po za tą jedną najważniejszą przyczyną, która spowodowała, iż byliśmy słabo reprezentowani na wystawie, istniały inne przyczyny, którym należy przypisać słaby udział wystawców polskich w wystawie. **„Goniec Wielkopolski"** pisze w tej sprawie:

„Zauważyliśmy iż nawet dział specyalnie rolniczy sprawiał na zwiedzających wystawę ziomkach deprymujące wrażenie. Otóż dlatego należy się wyjaśnić:

1) iż — o ile nam wiadomo — polskie centralne towarzystwo rolnicze zaniechało zamiar wystąpienia na wystawie w znaczniejszym zastępie członków — wystawców i z większą ilością czy to inwentarza, czy też ziemiopłodów;

2) że wielu dzielnych ziemian wstrzymało się zupełnie od wystawy z powodu jej charakteru, w którym życzliwości i sympatyi względem Polaków ani śladu nie było;

3) że ci ziemianie, którzy na ochotnika jako wystawcy przyjęli udział, za poradą „życzliwą" pewnego wystawowego komisarza czy agenta ograniczyli się do zbyt szczupłej liczby okazów, podczas gdy wielu wystawców Niemców bez owej „życzliwej" porady powystawiało pięć i dziewięć razy więcej;

i 4) że — jak zapewniają nas rzeczoznawcy — w licznych polskich dominiach dużo jest materyału pierwszorzędnego w inwentarzu i produktach rolnych, któryby był zdolny poważniej nas zareprezentować w tym ogólnym popisie.

„Oto przyczyny, do których prowadzić należy słaby objaw sił polskich w tym rolniczo-przemysłowym turnieju, słabszy, niżby odpowiadał istotnemu stanowi rzeczy w zakresie naszego rolnictwa."

Zauważyć jednak przy tem musimy, że w wielu razach własne nasze niedbalstwo i nieumiejętność zakrzątnięcia się około rozwoju przemysłu prowadzi do fatalnych rezultatów.

Niedawno przytoczył **„Wielkopolanin"**, którego zdanie poniżej powtarzamy, — fakt niezmiernie dobitnie dowodzący, jak mało interesują się nasi przemysłowcy sprawami ogólno przemysłowemi.

Oto p. Bendlewicz, znany przemysłowiec, napisał broszurę na temat: „Jakich zawodów przemysłowych chwytać się obecnie należy."

„Broszurę tę rozesłano do wszystkich pism polskich. Pisma ją przedrukowały, a więc broszura ta rozeszła się w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy, oprócz tego rozesłano broszurkę Tow. Przemysłowym. Można więc było się spodziewać, że broszura ta znaną jest powszechnie szczególniej w Kołach Przemysłowych.

„A jednak zaległo głuche na sali zebrania przemysłowców milczenie, skoro pan mec. Czypicki powiedział: Pan Wąsowicz wygłosi odczyt oparty na broszurce Będlewicza „Jakich zawodów chwytać się należy?" — panowie pewnie ją znacie?

„Odnieśliśmy wtedy wrażenie, że prócz osób przy stole prezydyalnym, prócz dwóch, czy trzech dziennikarzy, nikt inny nawet nie przypomniał sobie, że taka broszurka wyszła.

„Czyja wina?

„Zarzucają prasie, że za mało uwzględdnia sprawy przemysłowe, że zanadto zajęta polityką, spycha sprawy ekonomiczne i przemysłowe na drugi plan. Odpowiemy na to, że prasa musi się poniekąd stosować do gustu i upodobań czytelników; gdyby czytelnicy żądali częstszego i głębszego rozbierania spraw przemysłowych, prasa musiałaby się stosować do tych upodobań, ale czytelnicy radzi, że prasa im nie podaje tej strawy zbyt obficie. Przeciętny czytelnik — oczywiście nie wszyscy — woli czytać ploteczki miejscowe, powieść i inne lżejsze rzeczy, niż rozprawy o przemyśle.

„Prasa wie o tem, zna upodobania publiczności i wystrzega się nużenia czytelników artykułami o przemyśle. Że prasa zna upodobanie publiczności, na to dało klasyczny dowód ostatnie zebranie Przemysłowców.. Zaledwie kilku było — którzy znali broszurę Będlewicza, druko-

waną w piętnastu pismach polskich. — Dążmy do naprawy!“

Spostrzeżenie „Wielkopolanina“ jest zupełnie trafne. Niestety i my zauważyliśmy, że do komunikatów, sprawozdań i t. p. poważnie traktujących sprawę podniesienia przemysłu artykułów czytelnicy czują jakby jakąś specyficznie polską obojętność i odrazę. Czytać — to może ten i ów czyta, ale nadto kto się zastanowić chce nad tem, po co właściwie redakcya taki artykuł ogłasza?

Tymczasem w stosunkach dziennikarskich zaszedł fakt, który z elementarną siłą nakazuje dążyć do coraz większego i lepszego *jakościowego* zużytkowania pism. Faktem tym jest podrożenie papieru. Pisze o tem **„Gazeta Olsztyńska“**:

„Ze wszystkich stron podnoszą się skargi na drożyznę, brak sił roboczych itd. Teraz przychodzi kolej na wydawców gazet, a to z tego powodu, że ceny za papier znacznie podskoczyły. Fabrykanci papieru utworzyli bowiem między sobą związek, który w przyszłości stanowić będzie, jakie ceny nakładać na papier. Jest to dla tych, co potrzebują wiele papieru, mianowicie dla wydawców gazet, prawie że klęska. Jeżeli dawniej podwójny funt papieru do druku kosztował przeciętnie 22 do 23 fenygów, to obecnie dochodzi do 30 fenygów. Gdy się obliczy każdorazowy nakład gazety, to nie trudno sobie obliczyć, że to idzie w pieniądz, który spływa do kieszeni kapitalistów papierowych. Przypominamy więc szanownym czytelnikom naszym, że otrzymują teraz gazetę na droższym papierze, niech więc starają się „Gazecie“ pozyskać jak najwięcej czytelników, abonentów, aby w ten sposób przyszli z pomocą „Gazecie.“ Swoją drogą wydawcy gazet zamierzają także utworzyć związek, który wystosuje do rządu prośbę o zniżenie cła na papier zagraniczny, aby przełamać opór fabrykantów papieru.“

Przypomnienie to jest bardzo na czasie, zwłaszcza wobec nowego kwartału, a powinno ono trafić do serca mianowicie tym wszystkim, którzy sądzą, że wydawcy gazet polskich robią dobre interesy. Takie podrożenie papieru oznacza dla niejednej gazety deficyt tak znaczny, że groziłby ruiną, gdyby miał się lat parę ciągnąć. Na to niema innego sposobu — jak tylko silna agitacya i zjednywanie nowych czytelników.

Uroczystości krakowskie jubileuszu Wszechnicy miały jeden niemiły epizod, o którym donosi **„Nowa Reforma“** co następuje:

„Na uroczystość jubileuszową przybyło także do Krakowa trzema pociągami przeszło 1000 Górnoślązaków. Przywieźli oni do Krakowa dar, który pragnęli złożyć Uniwersytetowi Jagiellońskiemu w dniu jubileuszu. Dar ten stanowi duży cokół wykonany z wykopalisk Slązka (pruskiego), a na cokóle artystycznie wyrzeźbiony z czarnego węgla posąg Jagiełły. Uniwersytet odmówił przyjęcia daru, oświadczając, że obchód jest uroczystością czysto naukową, i nie należało go łączyć z żadnemi manifestacyami narodowemi.

„Nowa Ref.“ donosi o tem i sądzi, że wszelkie komentarze chyba zbyteczne, prócz tego może jednego skromnego pytania, czy należało czynić taką przykrość braciom z pod obcego zaboru, gdy się do nas ze szczerem zwracali sercem?!“

Zamiast wszelkich komentarzy przytaczamy poniżej tylko artykuł, jaki ogłosił z okazyi jubileuszu uniwersytetu górnośląski **„Katolik.“**:

„Nietylko oczy całego Narodu Polskiego ze wszystkich trzech zaborów, ale oczy całego świata cywilizowanego są zwrócone na Kraków, gdzie mieści się i obchodzi swój jubileusz najstarszy przybytek nauk i oświaty w Polsce. Zjechali się do Krakowa mężowie uczeni, przedstawiciele uniwersytetów wszystkich prawie krajów Europy, a nawet i z poza oceanu przybyli, aby złożyć cześć i hołd nauce, oświacie i wiedzy polskiej.

„Jest to więc święto nauki, wiedzy i oświaty polskiej, które przypomina całemu narodowi polskiemu jego dawne świetne czasy i świadczy, że naród polski już przed 500 laty dążył wraz z innemi narodami do większej cywilizacyi i oświaty.

„Jest to nietylko świętem nauki i wiedzy, ale świętem ogólnie narodowem, które ograniczać się nie może i nie powinno tylko na Kraków, Galicyę, ale w którem winien brać żywy udział choć tylko duchem cały naród polski, mimo swego politycznego rozdziału.

„Bo to Szkoła, która obchodzi dziś wielką swą pamiątkę, jest naszą, polską, narodową, ona była i jest ogniskiem, co zestrzela wszechwiedzę, aby ją tłómaczyć na nasze polskie słowa, na naszą polską ukochaną mowę, aby ją nieść do serc narodu nieszczęśliwego, ale nie pozbawionego wiary w swe własne siły i patrzącego dziś z dumą i na wielkich swych przodków i na to, jak cały świat ucywilizowany dziś składa hołd i cześć wiedzy i nauce polskiej.

„I u nas na G. Slązku, niemczonym od wieków, duchem łączymy się w tym wielkim narodowym obchodzie. Niech to będzie tem większą dla nas zachętą do wytrwałości, do czujności nad sobą, do pielęgnowania naszej mowy ojczystej, naszych skarbów narodowych. Wszakże wiedza, nauka i oświata roznoszona w naszej mowie ojczystej polskiej, święci dziś pięciowiekowy jubileusz. Wspaniały, wielki, pamiątkowy ten obchód narodowy niech i nas ukrzepi na duchu, na siłach naszych, niech nas umocni w naszej dumie narodowej, że jesteśmy potomkami wielkiego narodu, którego oświacie i nauce dziś cały świat ucywilizowany hołd niesie. Pozostańmy i bądźmy więc godnymi potomkami tego narodu, a pozostaniemy nimi, jeżeli zawsze i na każdym kroku pamiętać będziemy, że jesteśmy Polakami i dzieci nasze na takich chcemy wychować.“ *M.*

Głosy od Przyjaciół.

Z Ustronia.

Szanowny Redaktorze!

Ucieszyłem się bardzo, zobaczywszy w ostatnim numerze Pańskiego pisma ocenę postępowania Koła Polskiego w sprawie *„lex Heinze“*. Prawo to jest rozszerzaniem atrybucyi policyjnych, a jak wiadomo, policya, tak wszechwładna w Prusach, już chyba nie potrzebuje jakiegokolwiek powiększenia swych praw. Dlatego też powinszować można „Dziennikowi Poznańskiemu“ jego energicznej postawy i krytyki postępowania naszych posłów, którzy szli ręka w rękę z konserwatystami i obłudnymi centrowcami. I to, co zaszło właśnie przy obradach „lex Heinze“, powinno dać na przyszłość naukę Kołu polskiemu. Żadne bowiem pismo dotychczas jeszcze nie poruszyło jednego epizodu, który się przy tej okazyi wydarzył. Oto gdy posłowie nasi zajęli stanowisko podług myśli centrowców, kilka pism polskich energicznie zaakcentowało, że kraj na takie postępowanie posłów się nie zgadza. Potem okazało się, że przy t. zw. *Hammelsprungu* nasi posłowie zmienili postawę i w decydującej chwili nie poparli projektu. Był by więc wszystko dobrze i niemożnaby robić żadnego zarzutu posłom. To też dzienniki polskie zaczęły chwalić ten zwrot polityki Koła — i w rzeczy samej naprawa poprzedniego błędu, choć późna, byłaby dobrą. Ale oto coż się dzieje! Rozgniewani na Polaków centrowcy ogłaszają w *„Germanii“* artykuł, że ten zwrot w zajmowaniu przez Polaków stanowiska odbije się na stosunku centrowców do Polaków. Była to groźba, której człowiek poważny nie powinien był brać na seryo. Co nam znaczą centrowcy? Czy to my ich łaski potrzebujemy? Czy to nie oni dziś zaczepnie wobec nas występują przy wyborach?

Ale nasi niby — politycy w Kole polskiem na tę pogróżkę centrowców dostali drżączki i dalejże medytować jakby ich tu załagodzić i uradzili, aby ogłosić komunikat, *że dlatego do sali nie weszli, bo ich stojący przy drzwiach socyaliści i wolnomyślni nie puszczali* — to znaczy, że oni w duszy sprzyjają osławionemu projektowi.

Na tym przykładzie znów jaskrawo wystąpiła zgubna taktyka naszych powołanych polityków, która nie każe im się wcale liczyć z opinią publiczną, lecz we wszystkiem stosować się do woli „przyjaciół politycznych“ — centrowców. Dla ich to woli panowie posłowie wyparli się tego, co wszystkie organa nasze serdecznie pochwalili i za stosowny zwrot uznały.

Koło polskie powinno cokolwiek uważać na to, co i jak myślą w kraju o sytuacyi parlamentarnej. Na postępowaniu posłów naszych w Berlinie powinny się odbijać nie stosunki partyjno - parlamentarne berlińskie, lecz stosunki w kraju. Społeczeństwo nasze dawno sobie uprzytomniło fakt, że przyjaźń nasza z centrowcami zmienia się w otwartą nieprzyjaźń, a posłowie tego jeszcze nie zrozumieli i dalej po dawnemu centrowcom się wysługują. Centrowcy na nas tu w kraju szczują, a nasi w Berlinie się z nimi trącają kieliszkami i piją przyjaźń.

Niech nikt z tych panów nie powie, że kierował się rzeczowymi względami na moralność publiczną itd., bo lex Heinze — w najlepszym razie — zwalczać mogła była wielkomiejskie wybryki, których nasze społeczeństwo wcale i tak nie zna i dlatego przed nimi bronić się nie potrzebuje. Nie! co innego kierowało ich postępowaniem – oto przyzwyczajenie chodzenia razem z centrowcami, od którego oduczyć się raz powinni i muszą.

S. P.

Z Prowincyi.

Szanowna Redakcyo!

Z powodu kończącego się kwartału, chciałbym poprosić o gościnność dla niniejszego listu w łamach „Pracy“. Przedewszystkiem chcę się zwrócić do czytelników z gorącą zachętą do dalszego abonowania „Pracy“. Błędne byłoby bowiem mniemanie, że z powodu gorących, letnich miesięcy, gdy przeciętnie mniej jest czasu do czytania, a więcej roboty, — nie opłaci się trzymać gazet. Jest to mniemanie błędne dlatego, że i w tej porze potrzebna jest pewna rozrywka umysłowa i pewien odpoczynek dla myśli. Ja mam zawsze po przeczytaniu „Pracy“ to uczucie, jak gdybym zobaczył się z moim przyjacielem, pogadał z nim o rozmaitych rzeczach, odświeżył umysł i serce, zwierzył się z kłopotów i odebrał zachętę serdeczną. A taka rozrywka i takie odświeżanie myśli zawsze jest potrzebne, a nawet wprost konieczne. Człowiek nie jest maszyną, aby wciąż tylko w ciasnym zakresie swego fachowego zajęcia się obracał. Więc dlatego też zwracam na to czytelnikom uwagę.

Przytem jest jeszcze inny powód do zdwojenia naszych starań, aby „Pracy“ zjednać abonentów; a mianowicie to, że papier drukarski ogromnie podrożał.

Niedawno czytałem w „*Gońcu*,“ że prawie drugie tyle kosztuje arkusz gazetowego papieru, co kosztował dawniej. Kto zważy, ile to zadrukowanego papieru „Praca“ dostarcza swym czytelnikom, ten zrozumie, że tylko przez zjednanie paru nowych tysięcy abonentów wyrównać możemy zwiększone wydatki na papier.

Ale zresztą o tem chyba nie trzeba wiele się rozwodzić, bo chyba każdy, co czytuje „Pracę,“ gotów jest zawsze i wszędzie zjednywać jej nowych zwolenników i bez specyalnej zachęty w tym celu.

Właściwym celem mego listu miało być zupełnie co innego. Chcę mianowicie poruszyć publicznie myśl, która mi oddawna kołacze po głowie, a która z pewnością prędzej czy później urzeczywistniona zostanie. My, czytelnicy „Pracy“ — stanowimy niejako zwartą falangę obywateli-Polaków, którzy jednakowo myślą, w jednym kierunku dążą i obowiązki społeczne jednakowo pojmują. Wspólne czytanie pisma o tak wybitnym charakterze stanowi pomiędzy nami pewien łącznik, dzięki któremu czujemy się związani w jedną całość. Wytworzenie tej łączności, aby jej praktyczne rezultaty były tem widoczniejsze stanowi jeden z celów redakcyi. Ale też i my, czytelnicy, powinniśmy się starać taką łączność pomiędzy sobą wytworzyć i utrzymać. I tak już w każdem prawie miasteczku znają się i łączą ze sobą czytelnicy „Pracy“ — a przynajmniej wiedzą o sobie nawzajem. Ja sądzę, że należałoby, abyśmy krok jeden dalej poszli i tę łączność w jakąś określoną formę ujęli. Sądzę, że w każdem miasteczku Księstwa jest przynajmniej 50 abonentów „Pracy.“

Powinni oni wszędzie łączyć się ze sobą i zawiązywać towarzystwa, a raczej rodzaj klubów, w których choćby raz na tydzień wieczorem przy kufelku piwa, schodziliby się wszyscy na pogawędkę o sprawach bieżących. Takie kółka powinny się formować wszędzie, a to i w tym celu, że gdy dziś chodzi u nas o jaką sprawę publiczną, to jedynymi reprezentantami opinii publicznej są albo posłowie, albo te kilkanaście pism polskich. A ogół co? Ogół spraw takich nie roztrząsa w małych gronach prywatnych, na publicznych dużych wiecach nabożnie słucha mów, potakuje i — rozchodzi się do domów. Tymczasem nasze społeczeństwo coraz bardziej potrzebuje ożywienia i ruchu na niwie społeczno-politycznej. Musi się wyrabiać opinia i sądy! Spojrzmy na Niemcy, na Francyą, na Czechy. Tam w każdem miasteczku są takie stowarzyszenia, a raczej grona osób, nie związane żadnymi statutami, prócz tego, że należą do jednego i tego samego politycznego obozu i spotykają się regularnie w restauracyi przy kufelku piwa, a w rozmowie i roztrząsaniu spraw bieżących, wyrabiają w sobie pewność sądu i wpływają na bieg życia publicznego. A więc — *zakładajmy kluby czytelników „Pracy“.*

Stary czytelnik *Stanisław W.*

* * *

Bruch, Westfalia.

Kochana „Praco!“

Od niedawna jestem Twoim czytelnikiem, ale pokochałem Cię za to, że tak serdecznie do serca przemawiasz swym czytelnikom. Staram się też o nowych abonentów dla „Pracy“, bo widzę, że się nie może zgermanizować ten, do czyjego domu Twoje czerwone zeszyty zaglądają. W naszem tu Towarzystwie św. Michała, które liczy przeszło 700 członków zjednałem też kilkunastu abonentów i każdy z nich mi za to jeszcze jest wdzięczny, żem go namówił.

Chociaż tak dużo Polaków należy do naszego Towarzystwa, ale pomimo to znacznie więcej się germanizuje, niż ochrania swej narodowości. Najgorsza to rzecz zwłaszcza z zupełnie młodymi ludźmi, którzy sobie szukają wesołego towarzystwa a potem, ani się opatrzą, jak ugrzęzną zupełnie w tem błocie niemieckiem.

Towarzystwo Polsko-katolickie św-go Michała w Bruchu serdecznie „Pracę“ pozdrawia.

Z szacunkiem
W. Chwiłkowski.

Echa z wód.

Perła Doliny Bobra.

(Oryginalna korespondencya „Pracy.“)

Prychając, tętniąc toczy się błyskawicą pociąg pośpieszny. Jak cienie migają drzewa i domy. Z hukiem gromu pędzi przez krzyżujące się koleje; hamulec tamuje — ostatnie popchnięcie — pociąg już stanął. „Hirschberg!“ (Jelenia Góra) tak rozbrzmiewa wielokrotny okrzyk wzdłuż peronu.

Co za pchanie, co za tłok falującego tłumu!

Turyści z górskiemi laskami, nadobne panie, skromni kapitaliści, proste wiejskie kobiety, wszystko tłoczy, pcha się z gorączkowym pośpiechem.

Rozglądam się w ciżbie — oto tam stoi przyjaciel, którego miłe zaproszenie z wrzawy wielkomiejskiej mnie dotąd przywiodło; niewymowna radość łączy nas w serdecznym uścisku.

Najprzód coś porządnego dla pokrzepienia a tedy het w dal—!

Wolno kroczymy bitym torem pod górę w kierunku północnym. Rozmowa płynie tak żywo i z takiem zajęciem, iż zaledwie zważamy na drogę.

Niespostrzeżenie znajdujemy się wśród ładnej wioski Flachseiffen; wesoła dziatwa biega i hasa po drodze, że aż miło patrzeć na te zdrowe, rumiane twarzyczki.

Piękny dzień latowy skłania się ku schyłku, chłodny wiatr wieczorny wieje mile około włosów i czoła. Majestatyczne płaskoszczytu wyżyny toną w wonnej purpurze a u stóp naszych lśnią miłym blaskiem dachy i wieże „Jeleniej Góry“ (Hirschberg) oblane różowym strumieniem zorzy wieczornej.

Wolno spuszczają się cienie zapadającego zmroku zasłaniając sioła, lasy i łany.

O jak pięknie wśród ciszy rozlanej w naturze daleko od wrzenia i zgiełku bezbożnego świata!

Ruszamy dalej. Na prawo, tuż nad drogą sterczy wspaniały „Grunauer Spitzberg,“ opodal odsłania się przepyszny widok na dolinę „Langenau“ i wieniec gór ją okalający.

Mimowoli nasuwa się memu przyjacielowi wobec tej malowniczej przyrody zajmujące, ale przeraźliwe zdarzenie z upłynionych lat.

Tu bowiem na zamku Langenau odegrał się okropny dramat familijny.

Pewnego wiosennego wieczora dochodzi z komnat zamkowych donośny dźwięk puharów połączony z dzikim głosem ucztujących. Oswald v. Lest wyprawia młodszemu bratu Mikołajowi, mającemu nazajutrz wyruszyć do swego pułku, ucztę pożegnalną. Trwoga i groza ciągłych wojen rozluźniła obyczaje, to też wnet kipią rozpalone winem głowy i z obu stron rzucono obelżywe słowa; gorąco żarzy się z trudnością gniew, wtem — wybucha jasnem płomieniem. Z ostrą bronią rzuca się Mikołaj na brata, ten — silniejszy i zręczniejszy — zwycięża, już wydarł broń z bratniej ręki, zieje wściekłością, wstrząsa nim, dusi i o zgrozo! kładzie go trupem na ziemię.

Tymczasem opuściliśmy Langenau.

Piękna choć wązka dolina towarzyszy nam dalej; przez jej bujne, zielone łąki płynie wężykiem szemrząc i pluskocąc strumyczek „Engelbach“. Błogi, słodki spokój zdaje się tu być nieustannym gościem; szczęk broni atoli i wojenny zgiełk i tej dolinie nie obcy.

O tem świadczą szczątki murów odwiecznej cydateli sterczącej na strzelistej

skale, której stopy liże jasna piana strumyka.

Wnet przebyliśmy „Waltersdorf“; ostrem kołem zwraca się droga na prawo w ślad za Bobrem.

Naprzeciw unosi się stromo spadająca „Teufelsmauer“, szlachetnokształtny „Kynberg,“ i wysmukła „Wilhelmshöhe“. Z głębi zaś wyłania się schludna mieścina, uwieńczona naokół górami — Lejno (Lähn) — cel naszej podróży.

O posiadanie drewnianego mostu prowadzącego przez Bóbr do miasta wrzała w lipcu roku 1813 krwawa walka. Brygada Włochów pod dowództwem generała Zucchiego zajęła bowiem Lejno i pobliskie Kleppelsdorf. Niespodzianie nadeszły z Jeleniej Góry ruskie oddziały Kaiserowa niebawem przystępując do ataku. Walka zawrzała nierostrzygniona; nagle wybuchł z oberzy tuż nad mostem, dziś pod czarnym orłem gęsty słup płomieni, 200 rannych w niej ukrytych Włochów znalazło okrutną śmierć ogniową. W kilka godzin zapaliło się miasto, samego jeszcze wieczora około 100 domów obróciło się w perzynę a blizko 200 familii błądziło bez schronienia i przytułku.

Następujące teraz sceny dzikiej drapieżności i wandalskiego łupieztwa uchylają się wszelkiemu opisowi.

Jesteśmy u celu!

Przed nami zakład leczniczy, goście po większej części w sandałach, siedzą w gronach lub przechadzają się w przestronnym ogrodzie. O przybyciu naszem donieśliśmy już poprzednio — miła siostra w białym czepeczku wybiega zatem na przywitanie i prowadzi nas do przeznaczonego pokoju.

Stawam przy oknie.

Przedemną sterczy góra „Lehnhaus,“ a na niej króluje prastary zamek tonący w łagodnem świetle księżyca.

U stóp jego słania się nasze miasteczko i jak dziecko tuli się do łona matki.

Wtem uderza pełny, czysty głos z wieży kościelnej, za nim wtóruje z góry jasny i milutki dźwięk sygnaturki.

Samochcąc składają się ręce do słodkiej modlitwy, a usta szepczą: „Zdrowaś Maryo,“ aż ostatnie głosy rozbrzmiały niby ciche echo z dalekiej krainy pokoju.

O jak tu błogo i spokojnie! Tu wypocznę, by nabrać nowych sił do pracy.

Nazajutrz przyjaciel już wcześnie na miejscu, by znowu być mi przewodnikiem. Na dzisiaj układa większą wycieczkę, by mnie sprawić właściwe wyobrażenie o piękności okolicy, rozmaitości przyrody i ztąd wypływających szczęśliwych warunkach zdrowotnych.

Rozpoczynamy oględzinami zakładu — że tu kuracya wodna znalazła upewnione siedlisko, o tem czytelnikom już chyba wiadomo — podziwiamy piękne i praktyczne jego urządzenie. Najbardziej zajmuje nas t. zw. „Blitzguss,“ na którego szmery, syki i świsty, aż człowieka ciarki przechodzą.

Ztąd idziemy przez jadalnią na werandę.

Aliści cudne miejsce!

Tu raczyć się kawą (choć na pół z domieszką prawdziwego Kathreina) i przygryzując zajmować się lekturą o zwycięzkich wawrzynach Burów, napawać się aromatyczną wonią powietrza, zachwycać urokiem krajobrazu — zaiste to sprawia niewymowną przyjemność.

Kochany Czytelniku, jedno tylko zapytanie.

Byłeś ty kiedykolwiek u skrzętnie rządzących sióstr?

Uważam, że zawsze u nich znajdziesz nienaganną czystość, ochędóstwo, dziwnie ujmującą grzeczność i uprzejmość.

To i tutaj stwierdza się w urządzeniu, obejściu i pielęgnowaniu.

Właściwym atoli klejnotem zakładu jest prześliczna kapliczka z Przenajświętszym Sakramentem.

Tu przy mdłem świetle wiecznej lampy, kiedy już otucha i ostatnia nadzieja zniknęły, a strachy i kłopoty ciążą na sercu, modli się tak słodko i błogo, iż choć w największej toni dozna się ulgi i pociechy.

Teraz prędko jeszcze przekąskę i dalej na góry.

Idąc suchą promenadą wzdłuż skał łupkowych i urwisk melafirowych dostaniemy się na plac „Augusty,“ a wnet znajdujemy się u stóp „Kynberga.“

Już dochodzi nas odurzająca woń lasów świerkowych — tymczasem zstępujemy z kroku w krok pod górę.

Na wązkim grzebieniu „Kynberga,“ dokąd zwolna się wdrapaliśmy, zaprasza nas do wypoczynku huta ochronna.

Tymczasem buja oko swobodnie aż do grzbietu gór olbrzymich, które dotychczas tonąc w mglistych obłokach, właśnie się odsłaniają w blasku złotych promieni słońca.

Idąc dalej odkrywamy coraz to nowe krajobrazy, nowe widoki w lasach i gajach, bujna roślinność, kwiaty w najrozmaitszych odcieniach słaniają się u nóg naszych — a wszędzie panuje pokrzepiający i uszczęśliwiający spokój lasów.

Podczas gdy słońce wzbiło się wyżej na widnokręgu, doszliśmy zatoczywszy długiem kołem do „Lehnhaus.“

Na stromej skale wznosi się ten wspaniały zamek. Z dziewięćwiekowych zawieruchów ocalała tylko wieża, stercząca jak olbrzym z zamierzchłej przeszłości.

Tu przebywała często św. Jadwiga, jak anioł pociechy kojąc łzy i żale mieszkańców.

Hussyci zalawszy jak burza cały Śląsk pożogą, oblegali też i nasz zamek, lecz bez skutku.

W następujących zawieruchach stał się „Lehnhaus“ strasznem siedliskiem rycerzy rozbójników.

Później nastąpiła niewypowiedziana bieda i nędza 30 letniej wojny.

Naprzemian wkraczały wojska szwedzkie i cesarskie. Spustoszenia i kontrybucye nie miały końca.

Wtem 7 sierpnia 1648 r. wybuchł nagle z zamku potężny słup płomieni. Z rozkazu cesarza zapalono zamek, ponieważ znajdował się w stanie lichym, grożącym upadkiem.

Tymczasem przez zwaliska zamkowe wdrapaliśmy się po krętych schodach na gzymsy wieży.

U stóp naszych odsłania się widok niewypowiedzianej piękności.

Niemal prostopadle pod nami — jak cacko na stoliku — położone jest Lejno, naokół Bobrem kiejby srebrzystą wstęgą opasane. Tuż za Bobrem na północ występuje stromo spadający „Arnsberg“; niby mała forteca panuje na nim stare sołtystwo, podczas gdy inne skromne domki czepiają się stoku jak gniazdka jaskółcze. A dalej jak tylko oko sięga, góry, pagórki, lasy, strumyki, wąwozy, doliny, łąki i pola w rozkosznej, niewyczerpanej odmianie. Na tylnem tle sterczy jako punkt wypoczynku dla oka — barczysty „Gröditzberg“ z słynnemi ruinami, skalisty „Propsthainer“ i „Grunauer Spitzberg“, lesista Hogulija — nareszcie na południe pnie się pod niebieskie stropy płaskoszczyt o wyniosłych wyżynach, śmiałych, olbrzymich kształtach — zaiste obraz niezwykłej piękności.

Idąc z powrotem spuszczamy się prastarą, poważną ścieżką św. Jadwigi, by odpocząć na ławie bazaltowej, którą wiekowa tradycya łączy z pamięcią tej świętej patronki. Jak często spoglądała ona na nasze miasteczko (za wstawieniem św. Jadwigi założył Henryk Brodaty Lejno) spraszając na młodą osadę błogosławieństwo Boskie.

Z tym pierwszym pięknym dniem rozpoczyna się cały szereg wesołych, pełnych wytchnienia tygodni. Niestety czas ubiega. Wnet trzeba — się pożegnać!

Tym razem opuszczamy miasto w innym kierunku używając szosy prowadzącej na dworzec „Schmottseiffen.“

Jeszcze raz z Hagenbergu żegnamy się boleśnie z polubionym krajobrazem.

Raz jeszcze jakby ostatniem pożegnaniem pozdrawia nas wspaniała wieża kościelna.

Bywaj, urocze Lejno, perło doliny Bobra!

Antoni S., stud. fil.

500-letni jubileusz Uniwersytetu Jagiellońskiego.



1400—1900.

WITAJCIE!

Witajcie wszyscy, którzy przybywacie
Złożyć hołd naszej prastarej Wszechnicy —
Tu w Jagiellonów i Piastów stolicy
Szczere i wdzięczne serca dla się macie.

Jeżeli obce zrodziły was kraje,
Tem większa wdzięczność z serc naszych płynie,
Bowiem nasz naród tylko z nieszczęść słynie,
A więc szlachetny kto mu cześć oddaje.

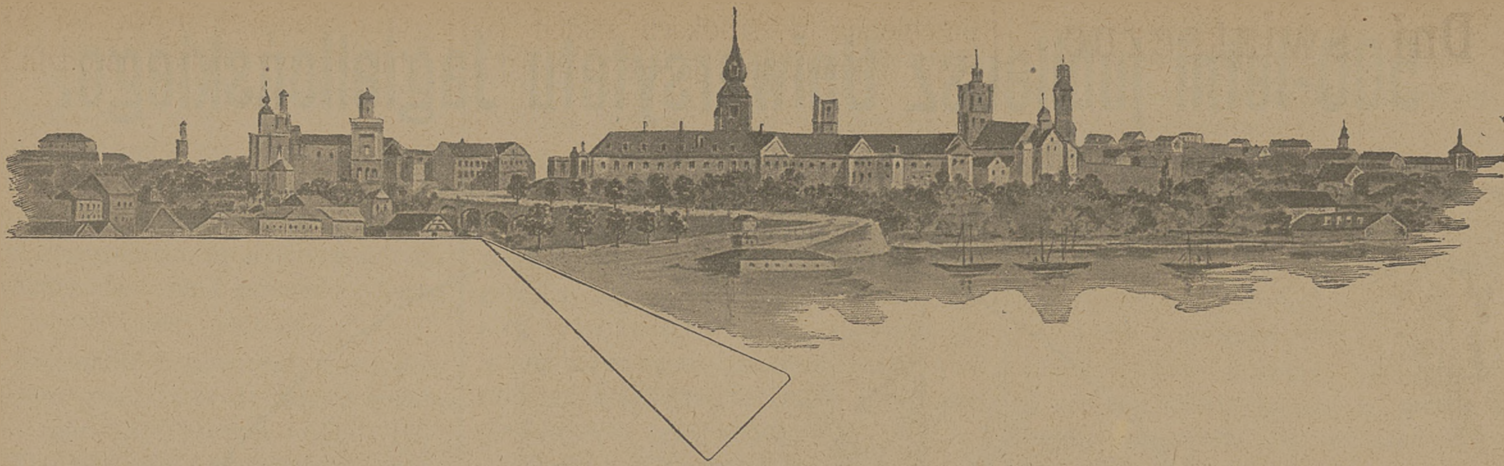
Witaj nam dalej historyków rzeszo,
Która z miłością śledzisz dawne dzieje,
Niech czysta prawda z twej pracy jaśnieje,
Niech do niej wszyscy jak do źródła spieszą!

Pięćset lat stoi jak „arka przymierza
Między dawnemi a nowemi laty“!
Więc Ją dziś stroim w bisior i szkarłaty
I stary Zygmunt na Jej cześć uderza.

Niech czysta prawda w Jej murach się chowa,
Niechaj stronniczość oddala od siebie,
Niechaj króluje wiedza na Jej niebie,
Niech zdala od Niej stoi waśń domowa.

Niechaj w Jej murach przez tysiączne lata
Brzmi mowa polska i żyje duch polski —
Niech wiedzie dalej żywot apostolski
Co z wiedzą miłość dla narodu splata!

D.



W pięćsetletnią rocznicę Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Spoczęła w mogile... w królewskich swych szatach,
Spoczęła w tęsknocie bezbrzeżnej na kwiatach
Swej dawnej, minionej wielkości,
A wiosna nadeszła grób stroi zielenią
I w blaskach słonecznych się trawy promienią —
A ona tam leży w cichości...

Spoczęła w mogile w żywota zaraniu,
Gdy wszystko wygwarza o szczęściu, kochaniu
I tęczą odziewa marzenia,
A kto Ją tam popchnął? o myśmy Ją sami,
Choć ona prosiła nas sercem i łzami,
Nieczuli na wszelkie proszenia.

Spoczęła w mogile... a my na tej ziemi
Niewoli zostali, ze łzami gorzkiemi
I z troską ogromną na duszy;
I skargi serdeczne leciały ku niebu,
Że Bóg nam być świadkiem Jej kazał pogrzebu
I ziemię całunem nam prószy.

Spoczęła w mogile... lecz dusze Jej dzieci
Niewolą szlachetne wrzeciądze stuleci
Rozerwią miłością natchnioną...
I wyjdzie ich święta Królowa z mogiły,
Bo czucia Jej synów nabrały już siły
I nowym zapałem znów płoną.

Spoczęła w mogile... lecz wyjdzie radosna,
Gdy powie słoneczna, niebiańska Jej wiosna,
Że naród w niewoli, a żyje,
Że święci wspaniałe tryumfy duchowe,
Choć w grobie złożoną ma swoją Królowę,
O! wtedy godzina wybije!

Radujcie się serca, podnoście się duchy,
Otrząście ze siebie niewoli łańcuchy,
Bo święto dziś wielkie w narodzie;
Niech z oczu nam zejdzie żałoby cień łzawy,
Bo dzisiaj zawitał radosny dzień sławy,
Zwycięztwa w duchowym pochodzie.

W niewoli wiekowej zagrzęzłe już dymie,
Dziś znowu na ustach każdego brzmi imię
I bratniej i wrogiej nam duszy
Krainy tej biednej, co z wyżyn upadła
I snuła okropne, piekielne widziadła,
Lecz serce wyniosła z katuszy.

Dziś, ludy szczęśliwe ze wschodu, zachodu
Wjeżdżają, by święcić rocznicę narodu
Wspaniałą stolicę prastarą —
By czucia serc złożyć w wymownej ofierze
I w słowach je wylać serdecznie i szczerze
I dzielić się chlebem i czarą.

Dziś, nową nam sławą historyi brzmi karta,
Jak wiecznej wielkości pamiątka niestarta,
Co dojdzie i w wieki potomne,
Że w usta nam przemoc nie wcisła obola,
Że serca nie wzięła stuletnia niewola
I górą my dzieci bezdomne.

Tam w górze nad nami widnokrąg jaśnieje
I słońce nam w sercach obudza nadzieje,
Że życie się skończy tułacze,
Bo przeszłość wygwarza nam wzniosłą swą nutą
I Ducha krainę widzimy rozsnutą...
Co bóle rozprasza i płacze.

O bijcie wy dzwony w prastarym tym grodzie,
Niech jedno dziś serce zabije w narodzie
Radością, w szlachetnym zapędzie,
Bo tryumf wspaniały święcimy duchowy,
Więc z wiarą możemy do góry wznieść głowy,
Że Polska jak była, tak będzie!

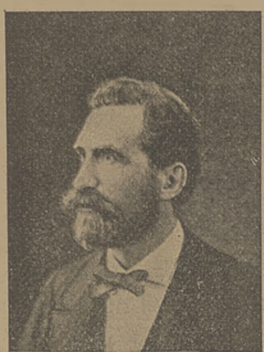
Kraków, dnia 7-go czerwca 1900. *Kazimierz Woyczyński.*

Dni świąteczne

w Krakowie.

9. 6. 1900.

Kraków od tygodnia przywdział szaty świąteczne, godowe, a na twarzach i w sercach wszystkich panuje wyraz i nastrój wesoły i poważny zarazem. Bo też wesołe, a poważne to święto, wesołe a wzniosłe gody! Święto ducha narodowego, który choć gnębiony nad Wartą i Wisłą i Niemnem przecież powstał dziś i woła potężnym głosem: *„Jestem“*, a głos ten słyszą nie tylko najbliżsi, nie tylko Austrya i Rosya i Prusy, ale doszedł on do Francyi, Włoch, Anglii, do



Fryderyk Zoll, wiceprezes Akademii.

wszystkich krajów na północy i południu Europy i odbił się aż za oceanem, w Ameryce donośnem echem; przypomniał dalekim ludom ten naród i kraj ten, na którego zmazanie z karty geograficznej przed stu laty pozwolono, i doszedł aż do tronów



B. Ulanowski,
Dziekan wydziału prawniczego.

złocistych i do gabinetów dyplomatycznych, gdzie dziś jeszcze nad wyniszczeniem naszem radzą i nie przebierają w środkach takich jak Sybir i knuty lub gorsze teutońskie znęcanie się nad duchem i sumieniem narodu!



Rektor Stanisław hr. Tarnowski.



Stanisław Smolka,
sekretarz Akademii i główny organizator uroczystości.

Jestem! woła dziś nasza prastara Wszechnica krakowska, Alma mater Jagellonica, a z nią woła nie tylko Kraków i Galicya, ale i Poznań i Prusy i Szlązk, Korona cała, Ruś



L. M. Jakubowski,
Dziekan wydziału lekarskiego.

i Litwa, i wszystkie te dzielnice dawnej a do dziś duchem niepodzielnej Polski przysłały synów swych jedną zgodnych myślą, na 500 letni jubileuszowy obchód narodzin Matki-żywicielki swej.

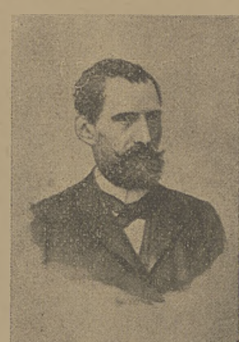
Jakoby wstępem do właściwych uroczystości jubileuszowych był, otwarty w poniedziałek dnia 4-go czerwca, Zjazd historyków Polskich. W wielkiej auli nowego gmachu uniwersyteckiego dokonał otwarcia Zjazdu prezes Towarzystwa historycznego prof. dr. Wojciechowski, powołując na prezesa Zjazdu Michała Bobrzyńskiego prezydenta rady szkolnej. Tegoż dnia rozpoczęły się posiedzenia wydziałowe Zjazdu, które dla wielkiej liczby referatów zakończyły się dopiero w środę około południa. W środę dnia 5-go zamknął Michał Bobrzyński Zjazd pozostawiając Towarzystwu historycznemu do uznania czy następny, czwarty Zjazd, jak zwykle za lat 10, czy też za lat 5 zwołać zechce.

Korzyści takiego Zjazdu są oczywiste zgromadzi się na raz tylu uczonych, pracujących w różnych dziedzinach nauk historycznych i we wspólnych wykładach



Ks. St. Spis,
Dziekan wydziału Teologicznego.

informują się wzajemnie o najnowszych kwestyach, o ogólnym stanie swego działu, o najpotrzebniejszych najbardziej naglących pracach. Stąd więc łatwo zyskać pogląd na obecny ogólny stan dziejopisarstwa naszego, a dowiedziawszy się o istniejących w niem lukach nie trudno znaleźć pohop do pracy, mogącej choć



F. Kreutz,
Dziekan wydziału filozoficznego.

zwolna luki te zapełnić. I tak jednem z najważniejszych postanowień Zjazdu jest to, które poleciło Towarzystwu historycznemu zapisanie t. zw. „składanej“



Collegium novum (dzisiejszy Uniwersytet Jagielloński).

a zgodnej z najnowszemi badaniami historyi polskiej, dostępnej i zrozumiałej najszerszym masom. Przez „składaną“ historyą rozumie się rzecz napisaną nie przez jednego człowieka, a siłami zbiorowemi, uzupełniającemi się wzajemnie. Rzeczą Towarzystwa historycznego we Lwowie będzie zatem dobrać sobie odpowiednią ilość współpracowników, ludzi kongenialnych sobie, to znaczy zgodnych i zbliżonych do siebie poglądami historycznemi, poruczyć im stósownie do ich studyi poszczególne działy dziejów polskich do opracowania, a potem z tych części złożyć o ile możności harmonijną całość.

Czwartek, 7-go czerwca był głównym dniem uroczystości jubileuszowych. O godzinie 8-ej rano wyruszył pochód z gmachu uniwersyteckiego do kościoła Maryackiego, gdzie książę Biskup Krakowski Puzyna mszą św. cichą odprawił. Po mszy szedł pochód tą samą drogą, a więc północną i zachodnią stroną Rynku i ulicą św. Anny do kościoła uniwersyteckiego, przemienionego w tymże dniu prastarym zwyczajem na salę posiedzeń. Po drodze odebrał uniwersytet krakowski w osobie rektora hr. Tarnowskiego adres ludności miasta Krakowa, i hołd a życzenia wiejskiego ludu. Poczem zaszedł pochód uroczyście do Kościoła św. Anny, przywitany na wstępie wspaniałym śpiewem chóru akademickiego.

Po polskiem a następnie łacińskiem przemówieniu rektora Tarnowskiego, odezwał się również po łacinie austr. minister oświaty dr. Hartel, któremu wspaniałą i gorącą jego mowę przerywały częste oklaski słuchających. Poczem nastąpiło składanie adresów i darów pamiątkowych zagranicznych uniwersytetów i różnych ciał i Towarzystw uczonych. Z krajów europejskich reprezentowane były wszystkie; uderzało tylko niemile, że Francya jednego tylko miała przedstawiciela w osobie prof. uniw. Pelissier z Montpellier; nie wystąpił zaś Paryż, ani jego Collège de France, niepomne, że nasz najlepszy i największy syn, Mickiewicz, przez cztery lata był tegoż instytutu profesorem!

Uczuć się dawało ciągle, że nie jest to uroczystość sztywna, wyłącznie akademicka, ale że jest to święto narodowe, w którem cały naród sercem i myślą bierze udział, że jest to niemniej święto międzynarodowe, skoro Europa cała i Ameryka była na niem obecna.

Po przemówieniu w imieniu doktorów uniwersytetu jagiellońskiego nastąpiło wręczenie tytułów doktorskich „honoris causa“. Nie będę wyliczał tutaj wszystkich tytułem tym zaszczyconych, toć gazety wszystkie kilka kroć podawały ich nazwiska, nie będę też powtarzał uwag i krytyk co do stronniczego, prądu, jaki i w tym razie wziął górę nad szczerem uznaniem dla istotnej zasługi, przyniosłyby tylko one ujmę prawdziwym wielkościom.....

Początek i koniec każdego z dyplomów brzmi jednakowo; odmiennym jest jedynie środek, w którem wymieniono zasługi dla których tytuł doktorski „honoris causa“ się nadaje. Ten ustęp dyplomu Sienkiewicza opiewa, że doktorat nadaje się:

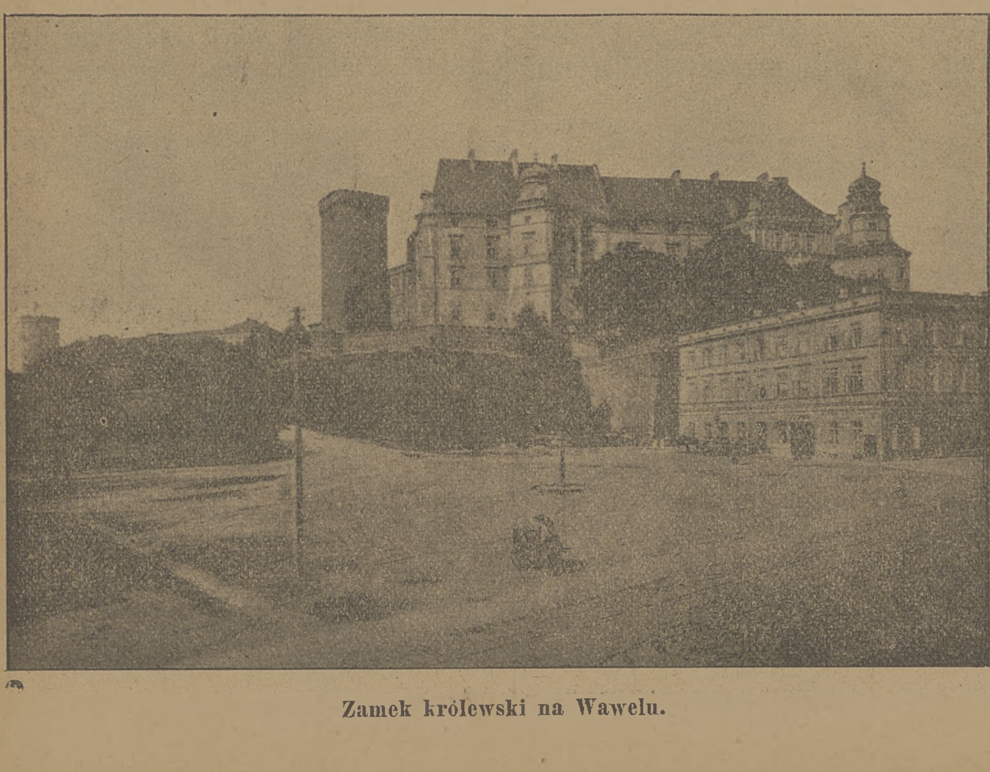
„in virum illustrissimum ac doctissimum, Henricum Sienkiewicz, scriptorum Polonorum principem, qui temporibus iniquissimis sermonis Patriae dignitatem egregie auxit, integritatem religiose servavit, civium animos erexit, operibusque vivandis summam apud exteros gloriam, nomen quoque Patriae suae nobilitavit“.

Co znaczy:

„Mężowi bardzo sławnemu i bardzo uczonemu, Henrykowi S—, książęciu polskich pisarzy, który w czasach najcięższych godność języka ojczystego wysoce podniósł, nietykalność jego z nabożeństwem zachował, współobywateli serca podniósł i żywemi dziełami największą u obcych dla siebie sławę zdobył i Ojczyzny swej imię rozsławił“.

W chwili, w której dziekan wręczał Sienkiewiczowi dyplom doktorski, czuł to, co dyplom opiewa, naród cały — to też zerwała się w kościele burza oklasków i wołanie ogromne, a wszystko to razem hołd wyrażało, jaki wdzięczny naród cały w najcięższych czasach a w podniosłej chwili składa największemu dzisiaj ze swoich synów. Była to chwila, której wspomnienie głębokie zostaje na życie całe i ślad niezatarty zostawia.

To co potem nastąpiło, były to już tylko mniej lub więcej piękne formalności, które bladły zupełnie po tym wstrząsają-



Zamek królewski na Wawelu.

cym do głębi akcie. Przemówienie końcowe rektora, przeszło bez wrażenia, a wśród odgłosów pieśni chóru akademickiego zwolna opuszczali wszyscy kościół z tem głębokiem dla Wszechnicy naszej życzeniem, by jaśniała ona przez wszystkie wieki prawdą promienna, geniuszem potężna.

Nastąpiły jeszcze tego dnia zwykłe bankiety, a nazajutrz z rana o godzinie 11-ej odsłonięcie pomnika Kopernika w dziedzińcu gmachu Biblioteki uniwersyteckiej, uroczystość, która była nader godnem i poważnem zakończeniem całego szeregu dni świątecznych.

Poznańczyk.

„Almae."

Alma Mater! Ty z Piastów korzenia
Niewiędniejąca różdżko Jagiellonów,
Cień listków Twoich — on nas opromienia,
Wszak był to wawrzyn dla królewskich tronów.

Alma Mater, chwalebna Macierzy,
Tyś jest przesławną owych wieków córą,
Kiedy świat wielkość Twej Ojczyzny mierzy,
Nie krwi purpurą, lecz blasku purpurą.

O, Czcigodna, młodością kwitnąca,
Tyś, jako skała wzniesiona nad fale:
Płynie toń czasu przez lat pół tysiąca,
Lecz kornie stopy całuje tej skale.

Córo Wolnych, Westalko dziewicza,
Święta kapłanko ogniska oświaty,
Ty strzeżesz wiecznie słowiańskiego Żnicza,
Czyś w wieniec strojna cierniowy, czy w kwiaty.

Z mlekiem Twojem pragniemy wysysać
Pokarm praojców naszych, a Twych dzieci,
Na Twojem łonie chcemy się kołysać,
Gdzie żyje wielki skarb wielkich stuleci.

W pieśni Twojej, powagą Sędziwa,
W potędze Twoich słów majestatycznych,
Niby prorocza wieszczba się odzywa,
Jak „górne tony" w narzędziach muzycznych.

Cześć Ci, Alma! Życie w Tobie tętni,
A razem jesteś, jak pomnik śpiżowy:
Przed nim czciciele wielkich chwil pamiętni
Na myśl o wodzu odkrywają głowy.

Na sztandarze Twoim, cna Macierzy,
Jaśnieją prawdy nieskalane godła;
Na bój za prawdę wiedź swoich szermierzy,
Jako Dziewica Orleańska wiodła.

Boś Ty wódz nasz, polski Machabeusz,
W walce z ciemnością Tyś wielki bohater!
Przyszłości ranem jest Twój jubileusz,
Birety, czapki z głów: „Alma Mater."

Kraków 7. 6. 1900.

Kazimierz Lubecki.



Kościół N. Maryi Panny (Maryacki) w Krakowie.

AKADEMIA KAZIMIERZOWSKA.

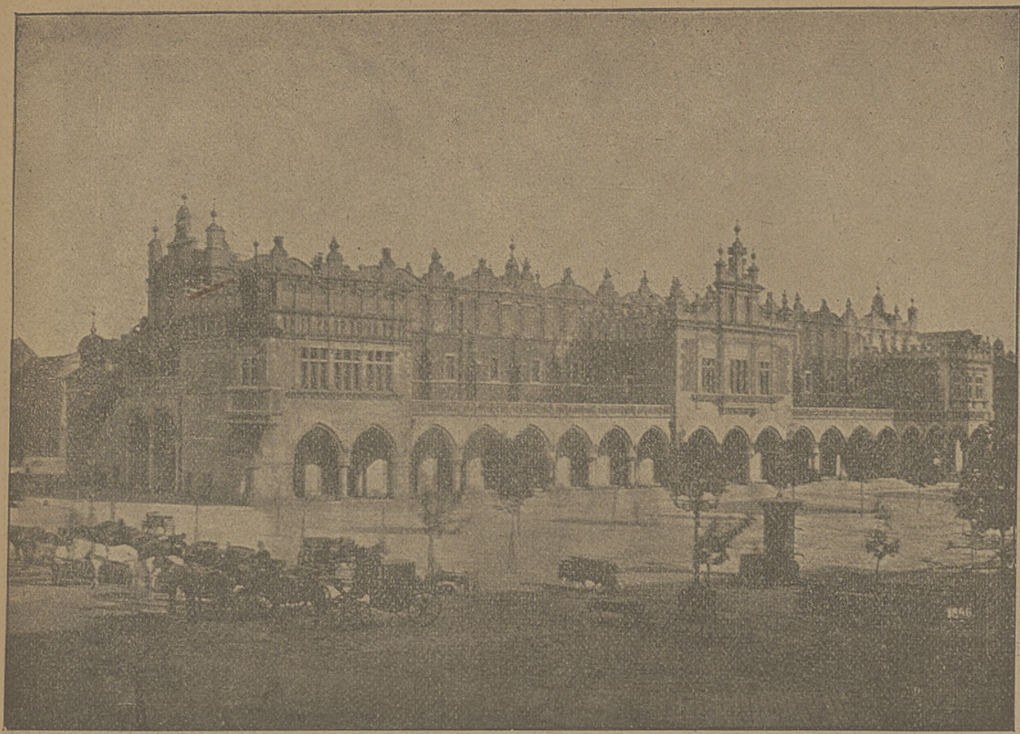
Pierwszy król Kazimierz Wielki pomyślał o założeniu Wszechnicy i otworzył w roku 1364 pierwszy uniwersytet polski w Krakowie, a w tymże samym roku zatwierdził jego założenie papież Urban V.

Jak szlachetnym i wielkim był cel fundatora, wskazują własne jego słowa w akcie fundacyjnym. Oto, co tam czytamy: „Przejęci gorącem pragnieniem szerzenia korzyści i szczęścia pomiędzy ludźmi, troskliwi o ich poprawę, nie wątpiąc, że pożytecznem będzie (dla duchownych i świeckich poddanych naszego królestwa) posiadać w Krakowie miejsce, gdzie nabyć można wszelkiego wyższego uzdolnienia, postanowiliśmy urządzić *studium generale* (t. j. wszechnicę). Oby ono stało się perłą w koronie potężnych umiejętności, któraby wydała ludzi przezornych i dojrzałego sądu, mężów bogatych w cnotę i zdolności, oby była zasobną w źródła wiedzy, z której czerpią ci wszyscy, co pragną zaopatrzyć się w dowody uczoności".

Wszechnicę swą urządził Kazimierz Wielki na wzór wszechnicy bonońskiej, słynnej z nauki prawa. O naukę



Sukiennice w Krakowie.



Sukiennice w Krakowie.

tego przedmiotu chodziło też przedewszystkiem naszemu królowi, pragnął bowiem, by Polska miała dobrych i zdolnych sędziów. Prócz wydziału ławniczego, na którym wykładało ośmiu profesorów, był jeszcze na Wszechnicy krakowskiej wydział medyczny i filozoficzny. Wydziału teologicznego brakło, bo papież obawiał się, by w kraju oddalonym od Rzymu, nie wkradło się przy wykładzie teologii kacerstwo.

Urządzenie wewnętrzne naszej Wszechnicy odpowiadało zupełnie uniwersytetowi bonońskiemu. Na czele Wszechnicy stał biskup krakowski. Uczniowie mieli zapewniony rozległy samorząd. Sami z pośród siebie wybierali rektora, tj. przełożonego studentów, który odbierał od nich przysięgę na posłuszeństwo i rozstrzygał spory pomiędzy nimi; sami powoływali profesorów. Posiadali też niemały przywilej, bo przysługiwało im „prawo zajęcia na swoje mieszkanie każdego domu, według upodobania", o wysokości zaś czynszu rozstrzygała komisya, do której wchodzili w równej liczbie studenci i mieszczanie krakowscy.

Biednemu uczniowi też było łatwo wystarać się o pożyczkę pieniężną, bo król sam pomagał w takich sprawach.

Domu osobnego akademia (tj. Wszechnica) nie miała. Król wynajął na sale wykładowe kilka kamienic na dzisiejszem przedmieściu Kazimierzu i tam urządzono izby szkolne. Lecz braki takiego urządzenia były widoczne. Obrał przeto król miejsce pod dom Wszechnicy i już miała się rozpocząć budowa, kiedy śmierć przecięła pasmo dni królewskich (1370 r.)



Baszta starożytna t. zw. Rondel.

Ledwo, że ujrzała światło dzienne, ledwo, że począł się rozlegać z katedr głos profesorów, już burza, która poczyna szaleć po całym kraju po śmierci Kazimierza, mrozi i tę wątłą roślinkę i skazuje ją na przedwczesne uwiędnięcie.

Ledwo król zamknął oczy, już wpadają do Polski Brandenburczycy i Litwini i szerzą w niej spustoszenie. Wprawdzie wraz z koronacyą Ludwika, władcy Węgier (zwanego stąd Ludwikiem Węgierskim) na króla Polskiego (1370), ustają te napady, ale nowy król dbający więcej o Węgry, niż o Polskę, w kraju naszym wcale nawet nie mieszka, nie troszczy się o niego, a rządy za niego sprawuje w Polsce matka jego, Elżbieta. Nie są to bynajmniej chwile dla Polski pomyślne. Ponowny napad Litwinów, wybuch w Krakowie z powodu swawoli Węgrów, przybyłych z Elżbietą do Polski, i wycięcie ich w pień, przekupstwo idące z góry, szerzone przez doradzców Elżbiety, oto ujemne strony jej rządów. Gdy zaś Elżbieta opuściła kraj polski, wybuchł w Polsce otwarty bunt przeciw panowaniu węgierskiemu. Zamięszanie wzmogło się jeszcze bardziej po śmierci króla Ludwika (1382), a w czasie bezkrólewia, trwającego do roku 1384, panował już zamęt ogólny, szerzyły się gwałty i rozboje. Dzieło Kazimierza Wielkiego rozpadło się w gruzy.

Cóż dziwnego, że wśród takich warunków, wobec braku poparcia ze strony tronu, wobec zamieszek, panujących w kraju i w mieście, nie mogła akademia krakowska odpowiedzieć nadziejom jej założyciela i że chyliła się z każdym rokiem ku upadkowi. Liczba studentów malała, natomiast poczęła młodzież, jak dawniej, wyjeżdżać masami całemi za granicę. Nie wiadomo nawet, czy dotrwała Wszechnica Kaźmierzowska do końca wieku czternastego. Pochodnia, która miała światłem swem oświecać kraj cały, gasła przedwcześnie. *K. P.*

Wszechnica Jagiellońska.

Młodziutka, czternastoletnia królewna węgierska, córka Ludwika, włożyła 15 października 1384 r. na skroń swą koronę królów. W dwa zaś lata później (1386) połączyła się węzłem dozgonnym z Jagiełłą, który na kilka dni przed poślubieniem Jadwigi porzucił



 Podług fotografii A. Olmy w Krakowie.

Odsłonięcie pomnika Mikołaja Kopernika w dziedzińcu Wszechnicy Jagiellońskiej w dniu 7 czerwca 1900.

Chcąc po wsze czasy upamiętnić święto
Krakowskiej Wszechnicy pięćsetnego lata,
Kopernikowy pomnik sławny odsłonięto
Wobec uczonych z całego aż świata.
Wśród naszych mężów z Studium generale)*
Jakże Kopernik świeci tak wspaniale!

O Alma Mater, zacna żywicielko!
Zsyłaj zbawienne promienie nauki,
Przoduj w narodzie nadal sławą wielką,
Niechaj Cię wielbią i wnuków prawnuki.
Zkąd słynie święty, uczony, bohater,
Ztąd patrzym wsparcia zacna Alma Mater!

Zygmunt Ludomir.

*) Nazwa dana Wszechnicy krak. przez pierwszego fundatora Kaźmierza W. 1364 r.

wiarę pogańską i przyjął wraz z kilku swoimi braćmi chrzest, a w piętnaście dni po ślubie koronował się w Krakowie.

Staraniem Jadwigi i Jagiełły papież Bonifacy IX zatwierdził bullą (t. j. pismem osobnem) założenie uniwersytetu krakowskiego wraz z teologią.

Królowa Jadwiga przed śmiercią swą (umarła 1399) zapisała wspaniałe swe klejnoty i kosztowności na rzecz akademii krakowskiej. Dobry przykład wywołał naśladowców; pospieszył z datkiem król, pośpieszyło kilku zamożnych duchownych, a później nawet profesorowie oddawali część ciężko zapracowanego grosza na koszta utrzymania Wszechnicy. Z biegiem lat mnożyły się coraz hojniejsze zapisy, tak że miała ona zabezpieczone dochody na żupach solnych, kamienicach, sklepach, na cle, na kanoniach i probostwach, a nawet na dobrach ziemskich. Wszystkie owe nadania zatwierdzali papieże. Gdyby majątkiem tym zarządzano zawsze dobrze, uposażenie akademii byłoby świetne.

Dnia 22 lipca 1400 roku odbyło się uroczyste otwarcie akademii Jagiellońskiej. Rozpoczął uroczystość pierwszy rektor nowego uniwersytetu, Stanisław Skarbimierczyk, mową wygłoszoną w obecności samego króla, a w mowie tej prawił o znaczeniu i pożytku nauk, które akademia krzewi i rozpowszechnia. Poczem biskup krakowski, ksiądz Piotr Wysz, ongi profesor prawa we Wszechnicy Kazimierzowskiej, podnosił wspaniałomyślność fundatorów, królowi zaś obiecywał wiekopomną sławę, którą mu musi zapewnić wznowienie akademii. Król wysłuchał mów tych w milczeniu, a pod koniec uroczystości (w tym dniu) wpisał się w księgę uniwersytecką, czyli tak zwane, album, w które wpisywano następnie i nazwiska uczniów akademii. Zakończono uroczystości dopiero dnia czwartego. Tegoż dnia spisano akt fundacyjny, podobnie, jak to uczynił Kazimierz Wielki, a w akcie tym podniesiono, że celem fundacyi jest krzewienie i obrona wiary, jako podstawy szczęścia ludzkiego. Widoczna z tego, że wydział teologiczny uważał Jagiełło za najważniejszy z pośród wszystkich.

Nowa wszechnica była otwarta. Umieścił ją król w kamienicy zwanej Pancerz, przy ulicy św. Anny.

Jak akademia Kazimierzowska urządzona była na wzór uniwersytetu bonońskiego, w którym uczniowie cieszyli się

nader rozległym samorządem, a nawet dzierżyli władzę w swych rękach, tak akademia Jagiellońska była odbiciem Wszechnicy paryzkiej, sorbońskiej.

K. P.

W 500-ną rocznicę otwarcia „Jagiellonii.“

W Krakusa grodzie dzisiaj wielkie święto,
Z ziemic odległych zjeżdżają się tłumy;
Bo takich rzeczy się tutaj podjęto,
O jakich dawniej nie śniły rozumy.

Bo jak wieść krąży wśród mieszczańskiej braci,
Zmarła królowa, już parę dni temu
W swej przecudownej, świetlistej postaci
Tu się Jagielle zjawiła sennemu.

W blaskach niebiańskich, z nimbem gwiazd nad głową
Stanęła przed nim jak senne marzenie
I swą słodziutką, by anielską mową
Dawnych obietnic prosiła spełnienie.

Posłuszny woli swojej zmarłej żony,
Król uroczyste otwarcie wszechnicy
Na dziś zarządził... Z każdej świata strony
Zjechali możni, uczeni, prawnicy. —
. . . .

Śpiewy tysiączne brzmią w murach świątyni,
Tysiączne modły do stóp bożych płyną
Za ten łask promień, co nowy dzień czyni,
Nad cichą, senną Piastowską krainą.

A nad stolicą grzmią dzwony rozgłośnie
I nowy rozhuk z tych dźwięków powstawa;
Okrzyk na chwałę Jagiellonom rośnie:
„Światła siejbiarzom! Sława, sława, sława!“

* * *

W rozgwarny dźwięk, w olbrzymi głos
Grzmią dziś w Krakowie dzwony
W potężny głos, tryumfu głos
Na wszystkie świata strony.

I pieją hymn na chwałę tej,
Co wiedzy ziarna siała,
Wszechnicy w cześć, na sławę jej
Za skarby, co nam dała.

Od dźwięków tych, co czarem brzmią,
Wiek ocknął się miniony,
Wskazuje tym, co w grobach śnią
Na rzeczy dziś spełnione.

W zdziwieniu swem patrzą na świat,
Patrzą na świat radośnie
I widzą młódź dzisiejszych lat,
W rozkwitu widzą wiośnie.

Z wszechnicy bram roją się wzdłuż
Po kraju młodzi tłumy,
I niosą brzask, niosą wśród burz
Narodu godni dumy.

Za czyny Twe, za światła zdrój,
O! wdzięczność Cię nie chybi;
Ze wszystkich stron brzmi głosów rój:
„O Alma Mater gloria Tibi!“

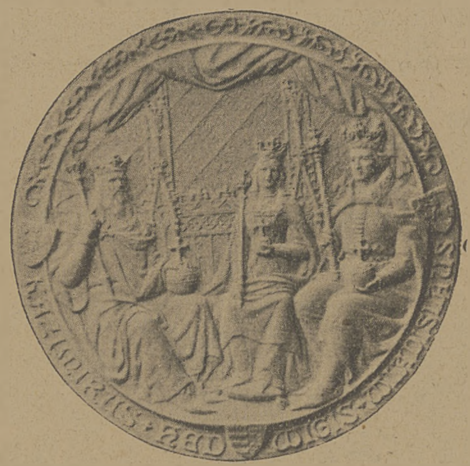
Sambor, 6 czerwca 1900.

Eug. Ku . . . . ski.

Medal pamiątkowy.

(Dwie illustracye.)

Z okazyi 500-go jubileuszu uniwersytetu Jagiellońskiego, senat akademicki tej uczonej instytucyi zamówił u artysty-rzeźbiarza, p. Trojanowskiego, w Paryżu (Boulevard Arago, 65), medal pamiątkowy, którego wizerunek zamieszczamy w naszem piśmie.



Na jednej stronie widnieją postacie: Jadwigi, Kazimierza i Jagiełły, odtworzone według pieczęci królewskich i wizerunków z grobowców na Wawelu.



Druga strona przedstawia godło uniwersyteckie (berła), wizerunek św. Mikołaja, patrona uniwersytetu, i herb miasta Krakowa. Obie strony zdobne są w odpowiednie napisy łacińskie. Medal ten, wybijany obecnie w mennicy paryzkiej, wielkości 68 mm., kosztuje: w bronzie 10 fr., takiż srebrzony 15 fr., a złocony 20 fr. Medal wybity ze srebra 35 fr., a srebrny złocony 45 fr.

Dwa specyalnie wykonane egzemplarze tego medalu, wręczone będą przez senat akademicki Ojcu św. i cesarzowi Franciszkowi Józefowi.

Nadto, hr. Andrzej Potocki z Krzeszowa, zamówił dla swych słynnych zbiorów egzemplarz wybity ze złota, jako unikat.

W.

Życie studentów

w dawnej Akademii Krakowskiej.

Wszyscy profesorowie, magistrowie, bakałarze i uczniowie tworzyli niegdyś w Akademii Jagiellońskiej jedno ciało, jakby jedną wielką rodzinę, którą obowiązywały inne prawa, aniżeli resztę ludności, i która posiadała też osobne swe przywileje. Młodzieniec, który przekroczył progi Wszechnicy wchodził od razu w inny świat, oddalał się od codziennego życia, brał na jakiś czas rozbrat z wszystkiemi zabawami i uciechami świeckiemi.

Przypatrzmyż się nieco bliżej życiu tej młodzieży uniwersyteckiej. Było jej sporo, bo przez przeciąg piętnastego wieku przesunęło się przez sale wykładowe Wszechnicy dwanaście tysięcy uczniów. Przystęp do akademii miał każdy, tak syn szlachecki, jak mieszczański, jak i wieśniaczy, na chlubę zaś polskim naszym kmieciom przyznać należy, że, choć biedni nieraz, słali swych synów na uniwersytet i że z tych niezamożnych dzieci chłopskich wyrastali niejednokrotnie znani i znakomici ludzie.

Młodzież majętniejsza znajdowała za opłatą pomieszczenie w kolegiach i tam miała całkowite utrzymanie; życie młodzieńców uboższych płynęło wśród niewygód, a czasem i chwilowego niedostatku. Biedny taki chłopczyna znajdował wprawdzie pomieszczenie w kolegium, ale musiał za to, odwdzięczając się swoim dobrodziejom, „czyścić im odzież i buty, palić w piecach, nosić wodę, biegać na posyłki, służyć do mszy świętej, wyśpiewywać jutrznie i nieszpory w kościele, brać udział we wszystkich procesyach i pogrzebach.“ Nie dość jednak tego. Gdy głód doskwierał, szedł w wolnej chwili od nauki „od mieszkania do mieszkania z garnkiem po prośbie, zkąd jaja, chleb i inne jadło przynosił, przechodzoną jaką odzież, lub nie całkiem jeszcze zużyte obuwie.“ Niewesołe to, jak widzimy, było życie, tem większe też potem zadowolenie, gdy się trudności te pokonało i dobiło stopnia bakałarza, czyli magistra.

Ale nie wszyscy uczniowie ubożsi musieli wieść taki twardy i przykry żywot. Wśród społeczeństwa polskiego byli zawsze szlachetni ludzie, którzy spieszyli z pomocą ubogiej, kształcącej się młodzieży. Od najdawniejszych też czasów zakładano u nas bursy, gdzie znajdowali przytułek pilni a biedni młodzieńcy.

W ogólności były dwa rodzaje burs, jedne pozostające pod bezpośrednim zarządem uniwersytetu o miejscach bezpłatnych, i drugie, utrzymywane przez profesorów, gdzie jednak trzeba było składać pewne opłaty.

Pierwsze były dla biedaków prawdziwem dobrodziejstwem. Uczniowie mieli w nich zupełne utrzymanie. Pozostawali pod nadzorem magistrów lub bakałarzy, a ci ostatni powtarzali z nimi lekcye szkolne i odbywali dysputy. Nierzadko też wykładali tu magistrowie.

Uczniowie mieli w bursach osobną kaplicę, osobną książnicę czy bibliotekę z książkami do nauki i czytania. Rygor panował tu prawie zakonny.

Najdawniejszą bursą była „Bursa ubogich,“ czyli królewsko-jagiellońska. Założył ją Jan Isneri, ongi słuchacz uniwersytetu praskiego, a później profesor wszechnicy Jagiellońskiej. W r. 1409 kupił kamienicę przy ulicy Wiślnej i przeznaczył ją na pomieszczenie ubogiej młodzieży uniwersyteckiej z którejkolwiek prowincyi Królestwa Polskiego, szczególnie jednak z Wielkiego Księztwa Litewskiego i ziem ruskich. W przedniej części mieli się mieścić majętniejsi, w tylnej biedniejsi studenci, uczęszczający na wykłady teologii lub filozofii.

Bursę tę powiększył był znakomity nasz kronikarz, a podówczas kanonik krakowski, Jan Długosz, przez zakupienie na cele fundacyi sąsiedniej kamienicy, a w lat kilkadziesiąt później rozszerzyła ją sama akademia, dołączając do fundacyi jeszcze jeden dom sąsiedni. W znacznie późniejszych czasach, bo z początkiem wieku siedmnastego, pomnożyła dochody zakładu tego znacznymi zapisami królowa polska, Anna z Jagiellonów, zkąd też nazwa bursy królewsko-jagiellońska.

Bursa ubogich mieściła w swych murach znaczną ilość niezamożnej, pracowitej młodzieży. Ogólny nadzór nad nią sprawował „senior“, t. j. „starszy“, którym był jeden z członków kolegium młodszego. Musiał on w bursie mieszkać, ściągać należytości, przypadające na rzecz bursy, zdawać przed rektorem uniwersytetu rachunki pieniężne, odwiedzać mieszkania studentów, egzaminować ich, a wszystkich „w bojaźni bozkiej, skromności i pobożnych obyczajach trzymać.“ Do pomocy miał senior dodanego sobie tak zwanego prowizora.



Ks. Dr. Chotkowski,
Dziekan wydziału Teologicznego.

Podobne urządzenie z niezbyt znacznemi odmianami istniało także w innych bursach ówczesnych.

Oprócz tych burs zakładano w późniejszych czasach również inne dla ubogiej młodzieży, prócz tego zaś były także tak zwane bursy majętnych, węgierska, czeska i niemiecka. *W. D.*



Kopiec Kościuszki w Krakowie.

Pierwsza studentka w Polsce
przed pięciuset laty.

Szajnocha w znakomitem swojem dziele p. t. „Jadwiga i Jagiełło,“ mówiąc o tem, jak „po chwilowem przyćmieniu wschodzącej zorzy nauk obudził się u wszystkich narodów XIV stulecia nowy zapał do szukania i szerzenia światła,“ i jak królowa Jadwiga, główna sprawczyni odnowienia szkoły kazimierzowskiej, podzielała powszechną w swoim czasie żądzę kształcenia się i cześć dla oświaty“ — pisze dalej:

„Wzbudzała ta chciwość wiedzy w ówczesnej Polsce takie zjawiska, jakich nie widzimy gdzieindziej. Pragnienie nauki nietylko męzką zapalało ambicyę, lecz niepokoiło nawet płeć białą.“

Na dowód tego opowiada, na podstawie relacyi Marcina, opata benedyktyńskiego w Wiedniu, o pewnej dziewczynie, która, uniesiona tą żądzą wiedzy, odważyła się w męzkiem przebraniu wkraść się do uczelni krakowskiej wkrótce po jej odnowieniu.

Relacya opata Marcina („Dialogus historicus Martini abbatis Scotorum Viennae“) przytaczamy tu w tłómaczeniu dosłownem z łacińskiego.

Starzec: „Zdarzyło się, kiedy tam (tj. w Krakowie) przebywałem, że wykryto pewną dziewczynę, która przez dwa lata w męzkiem ubraniu uczęszczała na studya i już blizka była bakkalaureatu *in artibus*. Stawała w bursie z innymi, przystojnie postępowała, w łaźni nie bywała, na lekcye pilnie chodziła. Ojca miała w Wielkopolsce, scholastyka, (tj. przełożonego nad szkołą), przy którym, z innemi chłopiętami, przeszła nauki początkowe, a po śmierci rodziców, zabrawszy ojcowiznę, skrycie w męzkiem przebraniu udała się na studya.“

Młodzieniec: „Jakim sposobem ją odkryto i co się potem z nią stało?“

Starzec: „Pewien żołnierz, widząc ją przechodzącą przez miasto, w domu mieszczanina, który się nazywał Khaltebrig, rzekł do swych towarzyszy: „jeżeli ta osoba, idąca pod postacią studenta, nie jest dziewczyną, dam wam tyle a tyle; jeżeli jest, to wy mnie dacie.“ Tamci na to przystali. Potem, gdy przechodziła mimo drzwi domu, zawołał na nią, niby mając jej coś do powiedzenia, posadził ją u stołu wobec swych towarzyszy i dowodnie przekonał ich o słuszności swego domysłu (*et nudata, apparuit cujus sexus esset*). Skutkiem tego oddano ją pod sąd. Zapytana, dlaczego płeć swoją ukrywała, odrzekła: z miłości do nauki.

Badani pod przysięgą przełożony bursy i spółkoledzy nie mogli nic nieuczciwego o niej powiedzieć. Prosiła, aby ją oddano do klasztoru i tak się stało. Tam została nauczycielką i ksienią wszystkich innych i, jak mniemam, żyje dotychczas, niedawno bowiem miałem o niej wiadomość od kogoś, co mieszkał w Krakowie."

Według Szajnochy, ów opat Marcin był synem górnika ze Spiża, chodził do szkół w Krakowie, a potem po wyższe nauki udał się za granicę, podróżował po różnych stronach Niemiec i Włoch, wstąpił z czasem do klasztoru benedyktynów, został opatem w Wiedniu i napisał pamiętnik swojego życia i czasu, ogłoszony później w „Scriptores rerum Austriacarum" (Tom 2-gi.)

Wiadomość tę powtórzył dr. Jan Rymarkiewicz w swojem studyum pod tytułem „Książeczka Jadwigi, albo Nowojki z XV wieku," wydrukowaniem w tomie pierwszym *„Ateneum"* r. 1876, opierając na niej swe przypuszczenie, kto mógł być autorem tego nieocenionego zabytku pierwocin piśmiennictwa naszego, który, wydany najpierw z rękopisu krakowskiego r. 1823, przez Jana Mottego w Poznaniu, a potem: 1847 przez J. B. Pohla w Opolu, 1849 p L. Łukaszewicza w Krakowie, 1856 p. Lipnickiego w Wilnie z usunięciem archaizmów, a w roku 1875 przez Stanisława Mottego znowu w Poznaniu, dwom pokoleniom językoznawców naszych służył za cel badań najpilniejszych i dyskusyi gorących.

Modlitewnik ten, nazwany pierwotnie, zgodnie z podaniem, „Książeczka do nabożeństwa, na której się modliła św. Jadwiga z rodu królów polskich," pierwszy Wacław Aleksander Maciejowski, na mocy powtarzającego się w modlitwach wyrażenia „ja Nawojka," uznał za książeczkę jakiejś Nawojki, doktor zaś Jan Rymarkiewicz w Nawojce tej upatruje już jej autorkę, za którą ma ową studentkę krakowską, a późniejszą mistrzynię i ksienię zakonnic.

Twierdzi bowiem, iż nie ulega wątpliwości, że modlitwy te pisała kobieta, gdyż modląca się wszędzie odzywa się w rodzaju żeńskim; wszyscy zaś znawcy i recenzenci książeczki zgadzają się na to, że osoba, zdolna do takiego utworu, jak modlitewnik, musiała być nietylko bardzo uzdolniona i wysoko wykształcona, uczona, ale nawet w subtelnych kontrowersyach teologicznych biegła. Ztąd prosty wniosek, że musiała przechodzić wyższe studya naukowe, a niema nigdzie śladu najmniejszego żeby jakakolwiek inna kobieta, prócz tej, o której pisał opat Marcin, czegoś podobnego dokazać mogła.

Studyum Rymarkiewicza posłużyło Wincentemu Rapackiemu za motyw do bardzo zajmującej powieści historycznej p. t. „Do światła," napisanej r. 1866, której bohaterką jest owa studentka krakowska, występująca pod imieniem Nawojki; z wyjątkiem wszakże faktu o wkradnięciu się jej w przebraniu męzkiem do uniwersytetu, o wykryciu jej płci, oddaniu pod sąd, a potem do klasztoru, cała zresztą fabuła jest własną inwencyą autora. I tak w powieści tej Nawojka jest córką nie scholastyka, lecz oberżysty z Dobrzynia; udzielał jej początków nauki klecha wędrowny, który zaniemógłszy w oberży, w ten sposób się wypłacał za przytułek; potem kształcił ją bakałarz parafialny; dalej pisarz grodzki, biegły łacinnik, dla osobliwości i uciechy, wykładał jej „Alexandri Galli villa doctrinales puerorum"; następnie rozwijały jej umysł książki, potajemnie przez matkę sprowadzane z Torunia, a wreszcie żywe słowo podróżnych wszystkich krajów i wszystkich narodów, zawijających do gospody, których dziewczę wypytywało z ciekawością o wszystko, co widzieli i co słyszeli w swych wędrówkach po świecie.

Od nich też się dowiedziała nareszcie o otwarciu wielkiej szkoły w Krakowie i w skrytości serca postanowiła dostać się tam za jakąbądź cenę i jakimbądź sposobem.

I w końcu traf szczęśliwy do tego jej dopomógł. Pewnego razu zatrzymali się w oberży Nawoja kupcy hanzeatyccy, jadący do Krakowa, w których gronie znajdowali się dwaj sędziwi mężowie, uczeni humaniści włoscy, zaproszeni przez Jagiełłę na obejrzenie założonej przez niego szkoły, a u boku ich hoży młodzian, z wielkiem zajęciem przysłuchujący się prowadzonej przez nich przy posiłku dyspucie naukowej, którą też i Nawojka, u stołu im posługująca, z ciekawością gorączkową śledziła.

Uczeni spierali się z sobą o twórczość poetycką, przyczem jeden z nich cytował na poparcie swoich dowodzeń, ody i satyry Horacyusza, a gdy zaczął skandować wiersz, dobrze jej znany, ona, w uniesieniu zachwytu, sama go dokończyła. Zdumieni tem, jęli ją wypytywać, kim jest i zkąd się tego nauczyła, a ona błagała ich na klęczkach, aby ją wzięli z sobą do Krakowa, do szkoły.

Uczynić tego nie mogli, jadąc tam jedynie w gościnę, ale wdał się w tę sprawę młodzieniec i, porozumiawszy się z starcami na stronie, dał jej swój adres z zaleceniem, aby, gdy się dostanie do Krakowa, do niego się zgłosiła.

Uciekła tedy z domu rodzicielskiego i po ciężkich przygodach w drodze znalazła nareszcie sposobność w Sieradzu, gdzie przebyła ciężką chorobę, przesłać list do owego młodzieńca, który był jej przyrzekł swą pomoc. Ten zaraz przybył do niej i wziąwszy ją pod swoją opiekę, przebraną w męzkie suknie do Krakowa wprowadził.

Okazało się, że młodzieńcem owym był Józef Lewi, syn Jehudy, jednego z najbogatszych i najuczeńszych między tymi żydami, którzy się jeszcze za czasów Kazimierza W. osiedlili w Krakowie. Józef na świat przyszedł w tem mieście, ale ojciec jego pochodził z Francyi z Montpellier, a miał w Liworno bogatego krewniaka, po którego śmierci wyprawił tam syna po spadek.

Młodzian, znalazłszy się we Włoszech, trawiony jak i Nawojka żądzą wiedzy, pod przybranem nazwiskiem wstąpił do uniwersytetu w Bolonii, gdzie nabył ukształcenia humanistycznego, znalazłszy opiekuna i mistrza w owym uczonym, z którym, jadącym do Krakowa, powracając do kraju, znalazł się w gospodzie dobrzyńskiej, gdzie się poznał z Nawojką.

Józef Lewi obmyślił przyzwoitą stancyę dla przyszłej studentki i dał jej dobrego bakałarza w pomocniku rektora szkoły u Panny Maryi, u którego i sam się dalej kształcił w domu ojcowskim, nie mając prawa wstąpić do wszechnicy, w końcu zaś przy jego pomocy wprowadził ją do studyum.

Dalszych tragicznych przygód Nawojki i Józefa, opowiedzianych przez autora w sposób budzący bardzo żywe zajęcie, ze znajomością ducha czasu, zwyczajów i obyczajów, wierzeń i przesądów, przytaczać nie będziemy, poprzestając na szczegółach powyższych, które nam były nieodbicie potrzebne ze względu na to, że się dostały, i to nie dosyć ściśle przytoczone, do ogłoszonej w jednem z pism krakowskich, a powtórzonej i w innych, najświeższej relacyi o tej pierwszej studentce uniwersytetu Jagiellońskiego, z okazyi jego jubileuszu.

Referent tej relacyi, powtórzywszy wiadomość, zaczerpniętą z „Marcina opata" przez Szajnochę, w końcu dodaje, że „według legendy" Nawojka była *córką szynkarza i kochanką pewnego żydowskiego studenta.* Owóż na podstawie wiadomości, powziętej wprost od autora „Do światła," możemy zapewnić, że ów żyd jest jego własną inwencyą*), z tem jeszcze zastrzeżeniem od siebie, że Nawojka nie występuje w tej powieści, jako jego *kochanka* w dzisiejszem, pospolitem rozumieniu tego wyrazu; jest ci wprawdzie przezeń kochaną, bardziej wszelakoż podziwianą, wielbioną, jak bogini wiedzy i światła i ledwie nie jak święta, której nigdy o miłości swojej nie mówi. Dalej dodamy jeszcze, że i ojciec jej nie jest *legendowym*, lecz tylko powieściowym, i to nie *szynkarzem*, lecz oberżystą.

W końcu też nadmienić musimy, że również w powieści Rapackiego po raz pierwszy została zapisana wiadomość, zasłyszana przezeń od starych ludzi w Krakowie, jako tam przed sześćdziesięciu laty, w opustoszałym kościołku św. Agnieszki znajdował się kamień grobowy osobliwego kształtu i rysunku, na którym wyryta była dziwna postać: osoba klęcząca, w suknie męzkie ubrana, w rańtuchu zakonnym benedyktynek na głowie.

Napis był nieczytelny. Kościołek ów, zamieniony naprzód na magazyn zbożowy, potem na stajnię, a co się stało z pomnikiem — niewiadomo. *Suum cuique.*

Adam Pług.

---

*) Był on autorowi potrzebny do pełniejszego obrazu stosunków średniowiecznych, wśród których się rzecz dzieje, oraz „do okazania, jakiej to u nas dobroczynnej opieki doznawał lud Izraela, i że prześladowanie jego nie od nas wyszło, lecz powstało pod wpływem cywilizacyi obcej."

Pod Wawelem.

Uderzył „Zygmunt" na zamkowej wieży,
Grobowym głosem — przeciągle, żałośnie
Z wiatrem dźwięk jego ponad Wisłę bieży,
Coraz się wzmaga, potężnieje, rośnie
Jakby z olbrzyma zranionego płuca
Tony rozpaczy i skargi wyrzuca,
Które wzmocnione swem echem na nowo
Aż pod strop niebios niewstrzymane biegą,
Strzeliły w górę i pieśnią grobową
Skonały kędyś u stóp Przedwiecznego
Protest rozpaczy, która serce trawi,
Protest przemocy, gwałtów i bezprawi.
Sto lat, to data ognistemi głoski

Wpisana w kartę dziejów Europy
Zdeptaniem ludzkich praw i woli Boskiej
Rzuconych dzisiaj pod tyrana stopy
To krwawe widma Kamczatki, Tobolska,
To na trzech krzyżach umęczona Polska,
A jak świat wielki od końca do końca
I ile ludów, ile krajów liczy
Nie wstał z nich żaden mściciel ni obrońca
Położyć tamę rozszalałej dziczy,
Nie stanął żaden mocarz ni rozjemca
Na gwałt Moskala, przeniewierstwo Niemca.
Polska w żałobie od Wisły i Warty
Aż ponad Dźwinę i wybrzeża Niemna
Gdzie posterunki trzyma wróg zażarty —
To przyszłość straszna, beznadziejna, ciemna
I chyba nigdy nie było już gorzej
I chyba zwątpić w moc opieki Bożej
Oto kraj wielki, żyzny i bogaty
Przez sprzymierzonych łupieżców rozdarty
Panami uznał sąsiadów i katy
I wykreślony z Europy karty
I dzisiaj Polak żyjąc między swemi
Obcym się czuje na swej własnej ziemi.
Tak to zrodzony na wyżynach sokół,
Gdy wpadł niebacznie w zastawione sidła
Zaraz mu łowiec nieubłagany okuł
W ciężkie łańcuchy przepotężne skrzydła,
Wlokąc za sobą ogniwa łańcucha
Gorszy tyranów, że ich nierad słucha,
Ale zmartwieje ta dłoń, co nas dręczy
Krzyżackich wrogów i carskich siepaczy
I błyśnie kiedyś blask wolności tęczy
I modły nasze Bóg wysłuchać raczy,
Zabrzmi nam z niebios anielska symfonia:
„Dzień Zmartwychwstania — resurge Polonia!"

Konstanty Krumtowski.

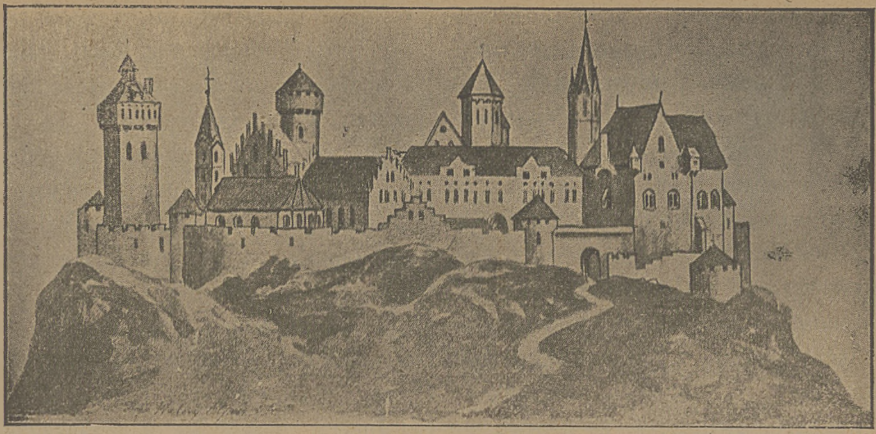
ŻAKI.

Dzięki królowej Jadwidze, Wszechnica krakowska, wydźwignięta z upadku, otrzymała wydział teologiczny i zorganizowała się w skutek tego według paryskiego wzoru. Nie brano jednak tego wzoru wprost z Paryża; istniały bowiem już w najbliższem sąsiedztwie Polski uniwersytety, urządzone według tego typu. Praga, z którą nas ściśle stosunki łączyły, wywarła przy reorganizacyi jagiellońskiego uniwersytetu stanowczy wpływ, którego skutki odbiły się między innemi w formie systemu kolegialnego, jaki u nas zaprowadzono. W r. 1400 powstało pierwsze kolegium, przeznaczone na mieszkanie dla profesorów i na lektorya. W pierwszej już połowie XV wieku zbudowano jeszcze trzy kolegia profesorskie i kilka burs dla żaków.

Były więc w XV wieku już cztery kolegia przeznaczone na mieszkania dla doktorów i magistrów, oraz na lektorja. Wyjątkowo jednak, widocznie o ile starczyło miejsca, znajdowali w nich przytułek i żacy.

Żaków, mieszkających w kolegiach profesorskich, są trzy rodzaje, t. j. żacy serwitorzy, żacy gracyalni i żacy *magistri extranei*, o ile byli uczniami uniwersytetu.

Zacy serwitorzy byli, jak to z nazwy widać, służącymi. Obsługiwali oni profesorów w kolegiach zamieszkałych; za to dawało im kolegium wolne mieszkanie i część wiktu, drugą część wiktu dostarczali magistrzy, każdy swemu serwitorowi. Wikt i mieszkanie serwitorów były wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nieszczególne. Bywało, że sypiali w sieniach lub na strychach, widocznie w zimie nieogrzewanych i z pewnością na bardzo lichej pościeli, jeżeli nie bez pościeli. Jedzenie, na które się składało ubogie kolegium i uboższy od tegoż magister, zapewne tylko wyjątkowo było dostatnie. Żacy serwitorzy jadali przy oddzielnym serwitorskim stole, przy którym sami sobie usługiwali. O traktowaniu ich przez magistrów trudno coś pewnego powiedzieć, wchodzą bowiem



Widok Wawelu podług rysunku z XV. wieku.

W jednem ze starożytnych archiwów miasta Krakowa odnaleziono niedawno nader interesujący obraz, który przedstawia zamek królów polskich, sławny Wawel, w takim stanie, w jakim się znajdował około roku 1550.

Obraz ten malowany jest ręką jednego z cudzoziemców, bawiących na dworze króla Zygmunta Augusta, ostatniego z Jagiellonów, a interesuje już tem samem, że jest najdawniejszym widokiem tego wspaniałego, a tak drogiego sercom Polaków gmachu.



Brama Floryańska w Krakowie.

w rachubę charaktery i usposobienia magistrów. Bywały z pewnością często wypadki, że pomiędzy profesorem a jego serwitorem, który był często równocześnie uczniem swego pana, nawiązuje się serdeczny stosunek, a to tem łatwiej, że profesorowie ówcześni, żyjący przeważnie w celibacie, jeszcze chętniej i prędzej przywiązywali się do swoich uczniów, niż to dzisiaj bywa. Gdy natomiast serwitor miał szorstkiego pana mogło być położenie jego w pewnych wypadkach bardzo przykre, zwłaszcza, że ustawa pozwalała bić rózgami krnąbrnych serwitorów. Mimo to jednak stanowisko serwitora było dla ubogich żaków rzeczą pożądaną, bo nie gardzili niem nawet bakalarze.

Magistrzy sami dążyli do polepszenia losu żaków serwitorów. Już w r. 1446 postanowili magistrzy kolegium większego, aby odtąd serwitorzy mieszkali w izbach swoich panów, a nie w sieniach lub sali jadalnej, lub w mieszkaniu prokuratora kolegialnego. Ustawę tę ponowiono w następnym roku i dodano, że nie wolno magistrowi trzymać na koszt kolegium więcej jak jednego serwitora, że za każdego nadliczbowego ma płacić na kolegium sześć groszy na kwartał, jako wynagrodzenie za jego mieszkanie. Ci nadliczbowi serwitorzy należą właściwie już do drugiej kategoryi żaków w kolegiach profesorskich zamieszkałych, t. j. do gracyalistów.

Gracyalistami nazywano tych ubogich żaków, którym w drodze łaski dano w kolegium wolne mieszkanie.

Trzecią kategoryę żaków, mieszkających w kolegiach profesorskich, stanowią *magistri extranei* t. j. tacy magistrzy, którzy nie wchodzili w skład żadnego kolegium profesorskiego. Zaliczamy ich do żaków jednak o tyle tylko, o ile byli uczniami trzech wyższych wydziałów, bez względu na to, czy byli docentami wydziału filozoficznego, czy nie. I im, podobnie jak magistrom, przysługiwało prawo wprowadzania do kolegium gracyalistów.

Mieszkający w kolegiach magistrów żacy musieli się we wszystkiem zastósować do ustaw, obowiązujących w kolegium. Nad gracyalistami i serwitorami czuwali z obowiązku opiekujący się nimi magistrzy. Przełożony domu miał prawo krnąbrnych gracyalistów tak samo smagać rózgami jak serwitorów.

W XV i XVI stuleciu było w Krakowie dwanaście szkół parafialnych. W nich, a przynajmniej w większej ich części, były mieszkania dla ubogich żaków. Znajdowała w nich przytułek najniższa kategorya żaków, t. j. uczniowie szkół parafialnych, ale obok nich mieszkali i żacy uczniowie uniwersytetu. Żacy szkół parafialnych byli pod jurysdykcyą rektora uniwersytetu, a więc ich także obejmuje ustawa z r. 1491. Szukała tu schronienia najuboższa część młodzieży, ją też w przeciwieństwie do reszty żaków, nazywano żakami ubogimi. O ile z nielicznych danych wywnioskować można, dostawali oni w szkole mieszkanie bezpłatne, żyli natomiast przeważnie z tego, co wyżebrali i dlatego nazywano ich scholarzami żebrzącymi *(scholares mendicantes, mendicato viventes.)* W chwilach wolnych od nauki i tym podobnych zajęć — a zwłaszcza w godzinach obiadu i wieczerzy wychodzili oni do miasta, aby szukać jałmużny w domach prywatnych, bądź też w klasztorach. W czasie wielkich świąt a przedewszystkiem podczas Bożego Narodzenia chodzili gromadnie po domach z choinkami, śpiewali kolendy, wygłaszali wiersze; za te i tym podobne przyjemności, a względnie nieprzyjemności, które nietylko mieszczanom krakowskim, ale i mieszkańcom sąsiednich wiosek sprawiali, dostawali chleb, pieniądze, jaja — słowem wszystko, co im się przydać mogło.

P. B.

Wyjście żaków z Krakowa

w dniu 4 czerwca 1549 r.

Zamieszczony poniżej opis „Wyjścia żaków z Krakowa“ przedstawia epizod, który stał się głośnym w dziejach Akademii Krakowskiej i niemały wpływ wywarł na jej stan późniejszy.

Działo się to na wiosnę w r. 1549. Poszło o kobietę lekkich obyczajów, która w maju przechodziła przypadkowo koło szkoły WW. SS. Nazywała się Julianna. Żebrzący żacy poczęli się z niej naigrawać — w obronie jej stanęli słudzy kanonika Andrzeja Czarnkowskiego, człowieka wielce zamożnego i przyjaciela biskupa Maciejowskiego. Mieli to uczynić na rozkaz kanonika. Uzbrojeni słudzy uderzyli na bezbronnych biednych malców, żaków, utrzymujących się tylko z żebrania i usługi kościelnej, jednego zabili, wielu poranili. Mordowanie małych nędzarzy było rzeczą straszną, wzburzyło też serca nie tylko wszystkich studentów, ale i mieszczan.

Za żakami ze szkoły Wszystkich Świętych ujęli się studenci ze wszystkich szkół, a kierownictwo wzięli w swe ręce studenci uniwersyteccy. Z trupami pomordowanych udali się tłumnie do króla po sprawiedliwość, a jako na sprawcę mordu wskazywali księdza Czarnkowskiego. Ten jednak wykazał swoje alibi. Uwolniono go też z zarzutu i tylko jego sługi uwięziono.

Wrzały jeszcze umysły młodzieży szkólnej i kipiały z oburzenia serca z powodu doznanych krzywd, napadu na szkołę i dokonanego w niej mordu i pokaleczenia, oraz z powodu nieukarania winnych. Tymczasem zaszły nowe niespodziewane wypadki, które doprowadziły do katastrofy.

W niedzielę dnia 26 maja przyszło przypadkowo na rynku krakowskim przed ratuszem do utarczki pomiędzy żakami żebrzącymi dwóch szkół parafialnych, N. P. Maryi a św. Anny. Zdarzyło się, że właśnie wtedy ks. Czarnkowski wracał konno ze służbą swą przez rynek z pałacu biskupiego na Prądniku do domu swego przy kościele WW. SS. Gdy żacy zobaczyli Czarnkowskiego, zaniechali wzajemnej walki, i rzucili się razem przeciw niemu, obrzucając go garnuszkami, jakie nosili przy sobie na użebrane jadło, kamieniami i czem mogli. Służba proboszczowska rozproszyła się, a ks. Czarnkowski ratował się ucieczką do domu „żyw, ale nie bez razów.“ Wystąpili słudzy miejscy, by poskromić napastników, ale i oni musieli się schronić przed kamieniami i garnuszkami żaków do ratusza, zdołali jednak pochwycić i uwięzić jakiegoś ucznia uniwersytetu, rodem z Warszawy. Koledzy zgłosili się do rajców z prośbą o wypuszczenie uwięzionego, przedstawiając, że jest niewinnym, gdyż nie brał udziału w napadzie, lecz przypatrywał mu się tylko. Proszących odprawiono z niczem, studenta zatrzymano w więzieniu dni kilka. Biskup zapytany, co z nim uczynić, odpowiedział, żeby go, gdy niema święceń, traktować jako pochwyconego „na gwałcie.“ Ale tej winy mu nie udowodniono, wymuszono na nim natomiast za pomocą gróźb kata zeznanie, że studenci uniwersytetu namówili żaków do napadu na ks. Czarnkowskiego.

Uwięzienie ucznia uniwersytetu choćby nawet „na gwałcie“, a cóż dopiero niewinnego i przesłuchiwanego w ratuszu przez rajców miejskich bez wiedzy i interwencyi rektora uniwersytetu, choćby nawet z polecenia samego biskupa, i wymuszanie na więzionym przez dni kilka zeznań za pomocą gróźb kata, było nowem grubem naruszeniem zasadniczych przywilejów studenckich, zagwarantowanych aktami erekcyjnemi królów i papieży z r. 1364 i 1400, potwierdzonemi w latach następnych kilkakrotnie. Sama kapituła krakowska, która miała wiele powodów do niechęci względem młodzieży szkólnej, orzekła na posiedzeniu swem z dn. 7 czerwca 1549, że postąpiono z rzeczonym uwięzionym młodzieńcem niesłusznie i niesprawiedliwie.

Ów uczeń uniwersytetu, uwięziony w niedzielę dnia 26go maja, siedział w karcerze miejskim według urzędowej relacyi kapituły krakowskiej cztery dni, a zatem do 30 maja. Wypuszczony na wolność opowiedział kolegom dolę swoją w więzieniu miejskiem. Była to pochodnia, rzucona w zbiornik materyału wybuchowego. Niezwłocznie w czwartek dnia 30 maja uchwaliła pokrzywdzona i w najwyższym stopniu oburzona młodzież opuścić gremialnie Kraków i opustoszyć przez to uniwersytet i szkoły.

Postawa młodzieży szkólnej nie była czczą tylko demonstracyą. Część jej, nie czekając terminu powszechnej emigracyi, wyruszyła z Krakowa już w sobotę dnia 1 czerwca.



Widok Krakowa z parku Jordana (na błoniach mustruje się pułk Dzieci krakowskich).

Dłużej już nie można było przypatrywać się temu obojętnie. Wmieszał się w sprawę sam król. Chodziło o to, aby powstrzymać młodzież szkólną od wykonania powziętego przez nią szalonego zamiaru. Król polecił zająć się tem kasztelanowi krakowskiemu, Janowi Tarnowskiemu i kanclerzowi, swemu biskupowi krakowskiemu, Samuelowi Maciejowskiemu. Mowa kasztelana, który umiał połączyć naganę z pochwałą, podziałała na młodzież uspakajająco. Zdawało się, że zażegnała burzę. Ale gdy po Tarnowskim zaczął mówić biskup Maciejowski, a w mowie swej, poruszając sprawę mordu, dotknął boleśnie zgromadzoną młodzież, wtedy ta, jak gdyby na dany znak, wybiegła z kościoła i utwierdziła się głośnym powszechnym okrzykiem w zamiarze emigrowania dnia następnego.

We wtorek dnia 4 czerwca już wczesnym rankiem zaroiły się ulice Krakowa od gotowych do drogi scholarzów. Towarzyszyły im tłumy mieszczan, krewnych lub znajomych. Żegnano się, płacząc rzewnie. Przynoszono młodzieży z wszech stron środki pożywienia na drogę, przychodzili z nimi mieszczanie i szlachta, poważni mężowie i sędziwe matrony, krewni i znajomi. Zrywały się nagle liczne stosunki, łączące ludność starego Krakowa z młodzieżą szkolną.

Zaopatrzona w drogę, dźwigając na plecach pudła i sakwy i niezbędne garnuszki studenckie, ruszyła młodzież tłumnie z Krakowa, śpiewając uroczystą pieśń: „Ite in orbem universum.“ Współczesne źródła jednogłośnie stwierdzają, że była to chwila nad wyraz bolesna.

Tłumy młodzieży i mieszczan potoczyły się do kościoła św. Floryana na Kleparzu na uroczyste nabożeństwo pożegnalne. Młodzież szkolna odśpiewała podniosłą mszę do Ducha świętego.

Po nabożeństwie ruszyła młodzież w stronę Prądnika, a wyszedłszy w pola na rozstajne drogi, spoczęła, by odśpiewać pieśń. Tu dognał ją goniec z mandatem królewskim. Król wzywał młodzież do powrotu. Część emigrantów, zląkłszy się gniewu królewskiego, wróciła, część większa, pożegnawszy się, rozproszyła się na wsze strony, zdążając do swych miejsc rodzinnych.

W. S.

Profesor uniwersytetu moskiewskiego pan Brand, Rosyanin, nadesłał następujący wiersz w pięćsetną rocznicę Uniwersytetu Jagiellońskiego:

„Więzami obowiązku w Moskwie zatrzymany,
Myślą przecię ulatam w Krakusowe ściany,
I w gronie biesiadników, o baczności chwilę
Poprosiwszy, od serca swój puchar wychylę.
Chciałbym złożyć choć małe przyjaźni dowody —
Grunt uprawiając drzewu miłości i zgody.
Gdy nad dawnemi swary płonę i boleję,
Takie we mnie powstają myśli i nadzieje:
Rzeka, co brzegi ryła, szerzyła powodzie,
Kołysze, poskromiona, ładowane łodzie —
Ujęta w słuszne tamy na ich twórców chlubę,
Lud nadbrzeżny bogaci, co mu niosła zgubę.
Lecz, żeby nurt skierować łaskawości Nieba,
Wytrwałości, i pracy, i czasu potrzeba.
Ile także zabiegów, aby ból ukoić:
Niedługo ranę zadać, ale długo zgoić!
Lecz wzywajmy ku zgodzie, natchnieni i prości —
Serca nam odpowiedzą odgłosem miłości;
Wzejdą w polu uprawnem ziarnka co pod ziemią,
W ciemności, jak w niebycie, niewidzialne drzemią.
Więc my płomień przewodni, nauki pochodnię
Uczcić z wami możemy wesoło i zgodnie.
W taką świetną rocznicę, któż nam nie uwierzy,
Żeśmy w dobrych życzeniach uprzejmi i szczerzy?
Nauka bowiem wszystkie i kraje i lata
Jednem wielkiem dążeniem — żądzą światła — brata!

Uniwersytety w Europie.

W chwili, gdy Kraków uroczyście obchodził 500 letnią rocznicę założenia Uniwersytetu Jagiellońskiego, który, jakkolwiek ufundowany przez Kazimierza Wielkiego roku 1364, dopiero od otwarcia wiekopomnego testamentu Jadwigi w roku 1400 zajął godne najwyższej szkoły w Polsce stanowisko, interesującym jest przypomnieć, że akademia krakowska była co do daty nietylko pierwszą w Polsce, lecz także po praskiej, która ją wyprzedziła o lat 16, drugą na całym obszarze ziem słowiańskich. W wydawnictwie niemieckiem „Minerwa“ znajdujemy daty założenia wszystkich wszechnic świata w porządku chronologicznym oraz ilość słuchaczów w każdym z istniejących uniwersytetów. Przytaczamy kilka szczegółów z rzeczonego sprawozdani. Pierwsze miejsce w porządku chronologicznym zajmuje uniwersytet w Kairze, założony w r. 988. W wieku XII powstały najpierwsze uniwersytety w Europie: włoski w Bolonii (1119), francuskie w Montpellier (1181) i Paryżu (1200) i angielski w Oxdorfie (1200). W XIII wieku wzrosła znacznie liczba akademii, zwłaszcza w Europie południowej: w tym czasie bowiem powstała tak sławna później Akademia padewska (w r. 1222), w której murach przez kilka wieków spotykano znaczną liczbę Polaków, a wśród nich wielu najznakomitszych przedstawicieli naszej nauki i literatury: dalej równie w swoim czasie słynne uniwersytety hiszpańskie: w Walencyi (1209) i Salamance (1243), a także w Coimbro w Por-

tugalii; w temże stuleciu założony został uniwersytet w Cambridge (1257). W wieku IV nowe uniwersytety powstały następującą koleją: w Rzymie r. 1303, w Grenobli 1339, w Pizie 1343, w Valladolid w Hiszpanii 1346, w Pradze czeskiej 1348, we Florencyi 1349, w Pawii 1361, w Krakowie 1364, w Wiedniu 1365, w Heidelbergu 1386, w Ferarze 1391. Jak widzimy, w okresie tym wyższa oświata, będąca poprzednio głównie udziałem południowej i zachodniej Europy, zdaje się posuwać w kierunku północno-wschodnim: pierwsze uniwersytety słowiańskie i pierwsze uniwersytety niemieckie w 14-em stuleciu biorą początek. Z ważniejszych uniwersytetów, które powstały w wieku XV, wymienimy: uniwersytet w Lipsku, założony w roku 1409, w Turynie 1412, w Parmie 1422, w Barcelonie 1450, w Glasgowie w Szkocii 1451, w Freiburgu 1457, w Bazylei 1460; w tym wieku założono też pierwsze uniwersytety w krajach skandynawskich: szwedzki w Upsali 1477, duński w Kopenhadze 1478. Ze stulecia XVI, wieku reformacyi i humanizmu, datują między innemi uniwersytety: w Wittenbergu, założony w r. 1502, w Sarospataku na Węgrzech 1531, w Jenie 1558 w Genewie 1559, w Strasburgu 1567, w Lejdzie w Holandii 1575, w Edynburgu 1583, w Dublinie 1591. W tymże roku została założona przez Stefana Batorego akademia wileńska (1578) a później przez jego wielkiego kancerza akademia zamojska (1595); uniwersytet w Kijowie powstał w r. 1588, zaś w 1544 powstał uniwersytet w Królewcu, założony przez księcia pruskiego Albrechta, lennika Polski. W wieku XVII tworzą się nowe ogniska oświaty w ziemiach nadbaltyckich: w Dorpacie (1632) i w Helsingforsie w Finlandyi (1640). W wieku XVIII zostały założone między innemi uniwersytety: w Getyndze (1737), w Moskwie (1755), w Petesburgu (1875). W wieku XIX powstało nowych uniwersytetów więcej, niż w którymkolwiek innym: nietylko Europa otrzymała nowe wszechnice we wszystkich niemal państwach, lecz założono je dość licznie w innych częściach świata, a więc w Montreal i Torento w Kanadzie (1821 i 1827) w Algierze (1849) w Sydneyu (1850), w Kalkucie, Madrasie i Bombaju w Indiach (1857), w Tokio w Japonii (1868), w Tomsku w Syberii (1888), do czego należałoby dodać liczne uniwersytety w Stanach Zjednoczonych, które ze względu na swą odrębną organizacyę zostały pominięte w tem zestawieniu.

Z tegoż sprawozdania dowiadujemy się, że na podstawie ilości słuchaczów w r. 1896/7 następujące 12 uniwersytetów uważać można za najliczniejsze: 1) w Paryżu, gdzie uczęszczało 11,090 studentów, 2) w Berlinie, 3) w Wiedniu, 4) w Madrycie, 5) w Neapolu, 6) w Moskwie, 7) w Budapeszcie, 8) w Monachium, 9) w Petersburgu, 10 w Oksfordzie, 11) w Atenach, 12) w Lipsku. Kraków pod tym względem zajmuje miejsce 48-e, Warszawa 64-e, Zurich 80-e, Jena 83-e, na 128 uniwersytetów wyliczonych. Trzy ostatnie miejsca zajmują: wolny uniwersytet w Amsterdamie, oraz uniwersytety włoskie w Ferarze i Urbino, gdzie przeciętna ilość słuchaczy nie dochodzi lub mało co przechodzi 100. *A. S.*

Szanowna Redakcyo!

My, jako niedorostki tułając się po obcej ziemi, składamy przez ręce Juliusza nasze pierwsze uczucia patryotyczne z obchodem 500 letniej jubileuszowej rocznicy odnowienia Akademii krakowskiej. Sława Akademii polskiej buja w cudzym kraju, nieprzyjazne nam narody sympatyzują z nami.

Wierni Polacy
N. N. etc. . . . .

Czerniowce, dnia 12/6 1900 r.
(Bukowina).

Do Matki nauki.

Zaświeciło w Polsce słońce,
Wionął wiatr cieplejszy,
Poznali Europy Dońce,
Czem Polak silniejszy.
Polsko! dziś wróg Cię ocenił,
Poznał Twe mądrości,
Któreś czerpała w ciemierni,
Z wszech świata twórczości.
Cześć! Ci Polsko za Twe syny,
Któreś nam wydała,
Któreś wciąż świetnymi czyny,
W trwodze ogarniała.
Ot, gdy cały świat z pogardą
O Polakach mawiał,
Idąc naprzód z twarzą hardą,
A Ciebie zostawiał,
Tyś mu prawdę pokazała,
Że opieka Boga
Wszystkie siły w nas wzmacniała,
Pobijała wroga.
Ty dzieci w bojaźni Bożej
Wzdy wychowywałaś,
A miłość nad świata drożej
Boga przedkładałaś.
Wydałaś uczonych synów
W obronie Ojczyzny,
Oni, nie pomni swych czynów
Nie chcą darowizny...
Pozwól-że mi teraz Matko
Wnieść okrzyk radości:
„Niech dojrzewa Twoje ziarnko,
Miej tryumf w starości,“
My przy Tobie myślą
W siermiędze bratniemi dłońmi,
Te, słowa Ci kreślim:
„Jaśniej wśród ludu polskiego,
Garnij nas do łona,
Ucz słodzić ducha wiejskiego,
Niech w grobie nie kona!
A gdyby nam kiedy przyszło
Rozestać się z Tobą,
Niech ostatniego zmysłu
Będzie to ozdobą:
Wiara, nadzieja i miłość,
Biegła z nami w parze,
Budziła nad nędznym litość,
Niosła ulgę w darze“.

Juliusz.

Adres uniwersytetu petersburskiego.

Adres uniwersytetu petersburskiego, złożony z okazyi 500-letniej rocznicy uniwersytetu krakowskiego, jest zawarty w dużej, szagrynowo niebieskiej oprawie, ozdobionej orłem rosyjskim złotego druku. Pisany prawdziwie tacytowską łaciną i jędrnym, lapidarnym stylem, mieści dużo szczerego uznania i sympatyi dla szkoły głównej krakowskiej. Zaczyna się godłem starorzymskiem: „Uniwersytetowi Jagiellońskiemu w Krakowie, obchodzącemu uroczystość narodzin po pięciu wiekach, szczęśliwie przebytych, w roku tym jubileuszowym starym zwyczajem składa życzenie Uniwersytet Cesarski w Petersburgu.“

Gdy za największy zaszczyt między społecznościami szkół uniwersyteckich uchodzi ich wiek sędziwy, taki, iżby początek tych szkół ozłociła jutrzenka odradzających się sztuk i nauk humanistycznych, to całemu światu zaprawdę wiadomo, że Wy doczekaliście się właśnie tego zaszczytu: po pierwsze, z łaski Boga Wszechmogącego, powtóre z woli Waszego króla, mądrością znamienitego, i że przez to staliście się nietylko dla siebie samych, ale i dla całego ludzkiego plemienia bojownikami szlachetnej myśli.

Tem większą tedy wdzięczność dla Was czujemy, że po upływie ogromnego wieków pięciu okresu, do świętej uroczystości w drugą połowę lat tysiąca się gotując, chcieliście i nas mieć za świadków dzieła: więc życzymy Akademii Waszej, aby, jako w przeszłości przekazała pamięci potomnych wielkie cnót przykłady i w doli i niedoli, tak samo, wkraczając w stulecie, już nadchodzące, drogą coraz równiejszą i szerszą, pokazała współzawodniczącej, rówieśnej ludów nauce, co mogą zdziałać w każdej dziedzinie wiedzy szlachetnej krwi synowie.

Dan w Petersburgu, w maju 1900.

Następują podpisy rektora i czterech dziekanów.

CZĘŚĆ DRUGA.

KRWAWY CHRZEST.

Powieść ze zdarzeń ostatnich w trzech częściach.

Napisał

J. Dzierzkowski.

Partyzanci.

(Ciąg dalszy.)

Chwalił, lecz nie był kontent z tego tak mądrego sposobu. Ta zbyteczna ostrożność nie w smak mu poszła. Pewny swego stanowiska i zaufania, jakie miał u władz moskiewskich, byłby był wolał, żeby mu dano coś mniej bezpiecznego może, ale jaśniejszego, coś takiego, coby można było tu i owdzie, gdzie to bez narażenia się wykonać by się dało, zaprodukować na dowód, że służy rządowi tajemniczemu i jego zaufaniem się cieszy.

Niestety, marzyć o uzyskaniu czegoś podobnego nie było można, trzeba więc było poprzestać i na tem co dawano, oraz na tak zwanym paszporcie narodowym, to jest na karteczce mało co większej od dłoni, mniejszej od czwartej części arkusza listowego papieru, zaopatrzonej pieczątką i wyrażającej, że obywatel Artur de Ketteler udaje się w podróż do Warszawy za wiedzą i dozwoleniem władz narodowych.

Zaopatrzony w te dwa dokumenta pan Artur nie traci czasu. Pokończył szybko przygotowania do podróży i bezwłocznie wybrał się w drogę, nasłuchawszy się do syta pochwał i wyrazów uznania od swego rodzica, że tak zgrabnie, zręcznie i skutecznie wziął się do rzeczy.

Był tak pewnym, że prosto z Warszawy będzie zniewolonym udać się do misyi dyplomatycznej za granicę, że się już jednocześnie przygotował i do tej podróży, oraz zaopatrzył w potrzebne do niej dokumenta urzędowe od władz moskiewskich.

Ponieważ sieć kolei żelaznych istniejąca obecnie w państwie moskiewskiem rozwinęła się dopiero po roku 1863, trzeba więc było drogę odbywać końmi.

Pan Artur wybrał się własnym, wygodnym, doskonale do długiej drogi urządzonym, powozem. Część drogi do głównego traktu miał odbyć własnemi końmi, dalej zaś końmi pocztowemi.

Aż do chwili wstąpienia na stopień powozu, był najlepszej myśli i nie doznawał najmniejszych obaw co do rezultatu swej podróży.

Ale „chłop strzela pan Bóg kule nosi“ przysłowie to sprawdzić się miało i tym razem, chociaż tu wcale nie chodziło o jakiegoś tam chłopa, tylko o świetnego młodzieńca, którego ojciec był naczelnikiem powiatowym i kawalerem krzyża miechowskiego, o dziedzica *in spe* nietyl o Gradowiec, Łaszczyniec, Małej i Wielkiej Woli, Podleśnik, Berezówki, Władkowiec, Zarzeczki, Aleksandrówki itd. itd., ale także tworzącego *en ctave* w tych wszystkich posiadłościach Zaskala.

Dla dogodności noclegów, których kilka w drodze odbyć potrzeba było, ażeby przyszły dyplomata nie przybył do Warszawy zbyt znużony, ale z pogodnym i świeżym umysłem, wypadło puścić się w drogę po nocy, aby samego rana stanąć w Gradowcach. Wyjazd w nocy jest wogóle jednym z najpewniejszych sposobów zapobieżenia, żeby baba z wiadrami drogi nie przeszła, albo żeby jej zając nie przebiegł, ponieważ wogóle zające w nocy śpią, a baby, choćby nawet nie spały, nie mają zwyczaju chodzić po wodę. Zbytecznem byłoby dodawać, że pan Artur wyjazd na noc ułożył, dlatego aby złych prognostków uniknąć. Nie — młody pan Ketteler był człowiekiem wyższym nad przesądy i może nawet nie wiedział o tem, że są ludzie tak smieszni, którzy przypuszczają, że konwie w ręku kobiety, lub kilka pomknięć zająca mogą wywrzeć bardzo fatalny wpływ na ich losy.

Był człowiekiem wyższym nad przesądy, a jednak, gdy sam został w zamkniętym i wygodnym powozie, jakaś niczem nieusprawiedliwiona zdjęła go trwoga.

— No puściłeś się w awantury, panie Arturze! — mówił do siebie — patrz teraz, żebyś wyszedł z nich cało. Kto wie co się z człowiekiem w drodze stać może. Daję słowo, dałbym z ochotą tysiąc rubli, żebym już raz był za granicą.... Ale cóż robić?...

Ułożonem było, że pan Artur w drodze do Gradowiec spać będzie, ale sen bujał jak ptaszę gdzieś pod niebem, a na powiekach marszałkowskiego syna osiąść nie chciał.

I na nicby się nie zdało, gdyby był osiadł, gdyż spłoszonoby go niedługo.

Droga do Gradowiec była tej nocy nad ranem niezwyczajnie jakoś ruchliwą, a ci którzy z niej korzystali, po największej części konni jeźdzcy, byli niezwykle ciekawi.

Od czasu do czasu powóz pana Ketteler wymijały gromadki jezdnych, a żadna z takich gromadek, zwykle z kilku tylko ludzi złożonych, nie zaniedbywała zapytywać:

— Kto jedzie?

Woźnica odpowiadał, jeźdzcy szybkim kłusem śpieszyli ku Gradowcom.

— Coto za jedni? — zapytywał wówczas pan Artur woźnicy.

Bih znaje! — odpowiadał woźnica zacinając konie.

Ten ruch wróżący coś niezwyczajnego, nie podobał się byłemu kamerjunkrowi.

— Tyle razy jeździłem tędy nocą, a nigdy nie bywało coś podobnego — mówił do siebie — w tem coś jest.

I wychylał się przez okno powozu, aby dostrzedz co to byli za jedni, ale mrok nocy był jeszcze zbyt gęsty, żeby to wyglądanie zdało się na co.

Byli już o półmilki od Gradowiec i zrobiło się widno. Za chwilę miało się pokazać słońce marcowe. Wiatr powiewał wiosenny, ciepły, pracując nad osuszeniem ziemi jeszcze wilgocią zimową przesiąkłej. Wiosnę czuć było w całym krajobrazie, ale pan Artur nie zachwycał się, ani dość zresztą jednostajnym krajobrazem podolskim, ani wiosną.

Wyglądał przez okienko powozu i ciągle wpatrywał się w punkt jeden.

W punkcie tym widać było znowu gromadkę jezdnych, tym razem liczniejszą, złożoną może z dziesięciu ludzi.

Gromadka ta z bocznej drożyny zbliżała się dość szybko do drogi, którą jechał powóz pana Artura. Spotkanie się z nią wkrótce było nieuniknione.

— Dobrze że się raz przecie dowiem co to za ludzie — mówił do siebie młody pan Ketteler.

Mówił tak, ale wolałby się z nimi nie spotykać. Czuł jakąś instynktową obawę, która zwiększyła się jeszcze bardziej, gdy dojrzał, wyraźnie dojrzał, i przecierając oczy sprawdził, że się nie myli, że owi konni jeźdźcy byli uzbrojeni.

W chwilę potem jezdni otoczyli powóz i okazało się, że byli ciekawsi od innych.

— Stój! kto jedzie? — krzyknął jeden z nich.

Woźnica zatrzymał konie, panu Arturowi serce daleko mocniej niż zwykle bić zaczęło. Gdyby był tego objawu fizyologicznego świadomy i mógł się nad nim zastanawiać, byłby się przekonał, że i on nie był pozbawiony tego dwukomórkowego organu, który mu zresztą żadnych w życiu nie zwykł był sprawiać niepokojów.

— Artur de Ketteler — odpowiedział pytającemu.

— Dokąd? — zapytał człowiek zajmujący widocznie w gromadzie stanowisko dowódcy — i czy jest paszport narodowy, bo w przeciwnym razie mamy polecenie rewidować.

Były kamerjunkier nie spodziewał się wcale, że mu świstek udzielony przez naczelnika wojewódzkiego tak prędko będzie potrzebnym i pożytecznym, miał go jednak na pogotowiu i bezwłocznie okazał pytającemu.

Po obejrzeniu papieru jezdni odstąpili od powozu, były kamerjunkier ochłonął. Odważył się nawet na zapytanie.:

— Czy wolno wiedzieć co to znaczy?

— To znaczy — odpowiedział starszy z gromadki — że my jesteśmy „szpicą“ oddziału powstańczego, który ciągnie za nami o kilkaset kroków.

— A! więc tu powstanie już wybuchło?

— Jak widzicie, obywatelu. Nasz oddział ciągnie z Zahajpolszczyzny i ma się połączyć z innemi w Gradowcach.

O! to Gradowce już są...

— W naszych rękach.

— Doskonale! — rzekł pan Artur — życzę szczęścia, niech żyje Polska!

Tak powiedział głośno, a po cichu pomyślał:

— Diabli nadali! spóźniłem się... To wszystko przez ojca, który mówił, że nie ma się co spieszyć, i który wymy

ślił tę pogłoskę o zamierzonem nagromadzeniu wojska. Ci starzy zawsze mają niedorzeczne pomysły.

Czytelnicy, którzy pamiętają jak się rzeczy miały, uznają zapewne, że pan Artur był trochę niesprawiedliwym względem swego rodzica. Autorstwo pomysłu o zamierzonem nagromadzeniu wojska jeżeli było niedorzecznem, to było co najmniej wspólną obu panów Kettelerów niedorzecznością. Mimo to syn wszystko w duchu zwalał na ojca, a sobie tylko miał do wyrzucenia, że się o dzień jeden nie pospieszył z wyjazdem.

„Szpica“ nie zatrzymywała się dłużej, lecz na komendę dowodzącege ruszyła naprzód, zostawiając powóz pana Artura na drodze.

Woźnica obejrzał się parę razy, jakby pytając czy pan każe jechać dalej, ale gdy pan był zatopiony w zadumie, więc z własnej inicyatywy cmoknął na konie, podniósłszy bicz w górę.

Ruch ten ocknął pana Artura.

— Czekaj! stój! jeszcze nie wiem gdzie pojedziemy — zawołał.

Były kamerjunkier rozmyślał.

Treścią jego rozmyślania było czy jechać naprzód, czy też wracać.

Jechać naprzód źle. Nie wiadomo jaką przestrzeń ogarnęło już powstanie. Przejeżdżać przez terytoryum plagą wojny dotknięte, to wszystko jedno co przejeżdżać przez zapalony step. Ztąd płomień i ztąd płomień — mogą się zlać z sobą i zupełnie drogę zagrodzić. A o powrocie wówczas myśleć nie sposób, bywa i on zwykle odcięty przez zlane w jedno morze płomienie.

Więc wracać do łaszczynieckiego pałacu.

Tak, ale wracać także nie dobrze. O pareset kroków za szpicą nadciąga oddział, za chwilę z bocznej drogi wkroczyć musi na drogę główną, spotkanie z nim nieuniknione. A któż może tym oddziałem dowodzić? Nikt inny tylko pan Bartłomiej, skoro oddział ciągnie z Zahajpolszczyzny, bo pan Bartłomiej w Zahajpolszczyźnie do wszelkiego zawadyactwa najpierwszy. Jakże się tu spotkać oko w oko z tym zawadyaką? Ten pan Bartłomiej już i w czasach spokojnych nie bał się nikogo i niczego. Nieraz się dawał głośno słyszeć po karczmach i jarmarkach, że jak przyjdzie do działania naprawdę, to „czy tak czy siak panie bratku“ nawet marszałkowskiemu synowi nie przepuści, zabierze go do powstania bodaj za kołnierz. Mógł syn markiza być gorącym przed powstaniem, musi być gorącym i teraz, „jeśli ochłódł, to go rozgrzejemy, mospanku, a jeśli zbladł, to go weźmiemy z sobą żeby się uczerwienił moskiewską krwią.“ Spotykać się z takim panem Bartłomiejem, stojącym na czele oddziału Zahajpolszczyków, nie mogło być panu Arturowi na rękę. Mógłby się oryginał rozzuchwalić i wykonać swoje pogróżki.

Więc ani naprzód, ani w tył... cóż począć?

Spojrzał pan Artur w prawo i spojrzał w lewo.

W prawo na widnokręgu nie rysowało się z zblizka nic. Ogromny łan podolski i nic więcej. Na lewo widać było wioskę.

W każdej innej okoliczności byłby pan Artur poznał tę wioskę natychmiast; zbyt dobrze była mu znaną, tym razem coś mu wzrok zaćmiewało.

— Co to za wieś? — spytał woźnicy.

Woźnica spojrzał i ramionami ruszył. Sądził, że mu mylnie w uszach zadźwięczało pytanie, nie pojmował, żeby pan kamerjunkier mógł pytać o to. Milczał.

— Co to za wieś? — powtórzył były kamerjunkier donośniej.

Woźnica miał ochotę się przeżegnać, odpowiedział jednak:

— Zaskale!

— Można ztąd zaraz skręcić w lewo?

— Można.

— No, to skręcaj. Jedziemy do Zaskala.

Pojechali. Ujechali może stacyę boczną drożyną. Pan Artur ciągle patrzył na drogę prowadzącą do Gradowiec, po której szybko zdążało kilkudziesięciu jezdnych.

Gdy skręt prowadzący do Zaskala minęli i nikt za powozem nie zwrócił, pan Artur odetchnął.

— Jedź prędzej! — krzyknął na woźnicę.

— W kwadrans potem jedynak pana markiza wysiadał przed gankiem w Zaskalu.

X.

Znany nam dobrze z pierwszej części tej powieści dwór w Zaskalu nie został opuszczony, pomimo że zeń do oddalonych podsyberyjskich gubernii wywieziono poczciwego rotmistrza, pomimo że Stanisław i Konstancya, połączeni węzłem małżeństwa, uznali za stósowne opuścić go dla tem większego uprawdopodobnienia mniemanej sprzedaży tej posiadłości panu markizowi de Ketteler, i przenieść się do Gradowiec, gdzie zresztą Stanisław czuł się samodzielniejszym i uważał, że jest bardziej do działań w sprawie narodowej potrzebnym.

Pozostała na rezydencyi w Zaskalu ciocia Giefia, która zrazu uważała, że jej niewypada przenosząc się z nowopobranem stadłem do Gradowiec ambarasować państwa młodych i zajmować ich sobą w miodowym miesiącu, a potem także się do nich nie spieszyła, dając tem milcząco do zrozumienia, że nigdy nie aprobowała związku swej jakoby wychowanki Kostusi, z człowiekiem tak niesalonowym i nieeuropejskim, z człowiekiem tak nieświetnego rodu, jakim był Stanisław Wydra, z którym Kostusię (jak mówiła) kaprys tylko i samowola starego rotmistrza złączyły.

Pozostawszy zresztą sama w Zaskalu, ciocia Giefia po raz pierwszy od długich lat uczuła się samowładną panią i zbyt jej z tem było dobrze, żeby odmiany tego położenia bardzo pragnęła. Pewną była przytem, że na tem samoistnem stanowisku będzie mogła daleko prędzej dopiąć celu swych marzeń, to jest do wstąpienia w związki małżeńskie po raz czwarty, nie mając przy sobie tak niebezpiecznej pięknością i majątkiem rywalki, jaką była wnuczka rotmistrza.

Marzenia cioci Giefi nie spełniły się jednak. Konkurenci rojami nie zjeżdżali się do Zaskala, jakby się zmówili z sobą, żeby jej dwudziestoletnie wdowieństwo po nieboższczyku Wieluńskim wdowieństwem dozgonnem pozostawić. Do fenomenów należały wogóle odwiedziny mężczyzn w Zaskalu, a zwłaszcza mężczyzn z nikim jeszcze węzłami sakramentalnemi nie połączonych, może dlatego, że ciocia Giefia, zostawszy samowładną panią, z każdej męzkiej wizyty daleko śmielsze niż poprzednio snuła prognostyki i postępowała tak, że odwiedzający nie mógł się nie domyślać, że te prognostyki istniały.

Gdy więc ciocia Giefia ujrzała powóz pana Artura zbliżający się do Zaskala, serce jej, mimo trzech małżonków dochowane w nieskalanem panieństwie, zaczęło w szybszem daleko tempie wykonywać swoje zwykłe *staccato*. Któż na jej miejscu mógłby wątpić, że ten powóz wiezie do niej od dwóch dziesiątków lat oczekiwanego królewicza?...

Gdy poznała, że to pan Artur, nie dała jeszcze za wygraną przeczuciu — któż mógł być pewnym, że syn pana markiza jako człowiek salonowy i europejski, nie zamierza jej, jako, salonowej i z europejskiem ułożeniem niewieście, dać pierwszeństwa przed parafiankami, bogatszemi może i piękniejszemi, ale przecież nie takiemi, z któremiby się można przed salonem i przed Europą poszczycić.

Ciocia Giefia wybiegła aż na ganek, ażeby powitać tak rzadkiego i tak niespodziewanego gościa. Mogła to uczynić tem łatwiej, że spodziewając się zawsze, iż kiedyś taki niespodziewany gość się pojawi, była codziennie od rana aż do nocy pod względem tualetowym na jego przyjęcie gotową.

— Co za fenomen — zawołała — że pan przypomnieć sobie raczył o pustelnicy zaskalskiej!... Ale kiedy mam pana raz, to nie wypuszczę tak łatwo... zostaniesz pan na śniadaniu i na obiadku... i jeszcze dłużej, i jeszcze... wszak prawda?...

— Być może — odpowiedział pan Artur — nie zobowiazuję się na pewno... w takich okolicznościach do niczego zobowiązywać się nie można. Pojmiesz pani jednak, że wobec tego, co się dzieje, może dość długo, a może bardzo krótko będę mógł z gościnności pani korzystać.

Zaprzątnięta swojemi marzeniami ciocia Giefia najpóźniej zwykle dowiadywała się o tem, co się działo w otaczającym ją świecie, nie przeszkadzało jej to jednakże być ciekawą.

— Mówisz pan tak tajemniczo — rzekła prowadząc gościa do dalszych pokoi — że nie wiem sama, co mam myśleć. Cóż tak nadzwyczajnego się dzieje?...

— Jakto? więc pani nie wiesz nic?

— Nic nie wiem.

— Powstanie...

— Eh! powstanie, to rzecz daleka... mnie polityka nie bawi... niech tam sobie w Królestwie powstają i upadają, co nam do tego.

— Ależ powstanie wybuchło już u nas...

— U nas?... gdzie?...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pod maską.

Tłumaczone z angielskiego przez J. P.

(Ciąg dalszy.)

Z dworca zeszła zaraz na drogę, wiodącą do zamku przez miasteczko. I tu liczne wspomnienia przychodziły jej na pamięć. Tam mieszkała biedna wdowa, której udzielała wsparcia, dalej bawiły się dzieci, które znała bardzo dobrze, i które z głośnemi okrzykami radości witały ją zawsze — dziś, szła sama, a nikt na nią ani nie spojrzał! Po upływie pół godziny zbliżała się do parku.

Ale na zobaczenie się z Janiną było jeszcze za rychło. Helenka wiedziała, że Janina zwykle po obiedzie wychodziła na przechadzkę, podczas kiedy sir John czytał gazetę, a żona jego drzemała. Z tej chwili musiała więc skorzystać, inaczej nie było sposobności widzenia się z Janiną. Napisać do niej nie śmiała, ponieważ list mógł wpaść w ręce rodziców.

I tak czekając na zmrok, usiadła nade drogą i gorzko płakać zaczęła. Tęsknota za rodzicami, za domem, zbudziła się w jej sercu z całą potęgą, a jednak musiała zwalczyć ją, bo przecież uważano ją za umarłą.

— Ach! — mówiła załośnie — jak ciężkiem jest moje życie! Jak okropnie muszę pokutować za winę, popełnioną bezwiednie.

Nareszcie wybił zegar na wieży zamkowej godzinę szóstą, i słońce chyliło się zwolna ku zachodowi. Lekki wietrzyk wieczorny ochłodził powietrze, i Helenka do dalszej zabrała się drogi. Gdy się zbliżała do parku, ujrzała powóz, wyjeżdzający z bramy. Poznała natychmiast konie i stangreta, a serce jej uderzyło niespokojnie. Ale powóz był próżny, stary Fryderyk spojrzał na nieznajomą sobie kobietę i pojechał dalej.

Z domku odźwiernego wyszła Basia, dawniejsza jej garderobiana.

— Chcesz pani iść do zamku? zapytała, otwierając drzwi.

— Tak! — odrzekła Helenka krótko i podziękowawszy skinieniem głowy, zwróciła się na boczną ścieżkę.

Basia zdumiona długo patrzała za nią.

— Dziwna rzecz, pomyślała — widzę ją po raz pierwszy, a taka mi znajoma!

Helenka tymczasem poszła do altany, którą Janina najwięcej lubiła, ale altana była pustą. Nie mając odwagi zbliżenia się do zamku, z obawy, aby jej kto nie zobaczył, usiadła tutaj i czekała na kuzynkę, jedna wszakże godzina mijała za drugą, a Janina nie przychodziła. I gdy zegar zamkowy wydzwonił dziewiątą, straciła wogóle nadzieję zobaczenia jej dzisiaj. Czyżby jej wcale w domu nie było? W takim razie cała ta podróż byłaby daremną.

Niespokojna i przerażona tem przypuszczeniem ośmieliła się wyjść z altany i zbliżyć się o tyle chociaż do zamku, aby się przekonać, czy rolosy w oknach są spuszczone, co byłoby najlepszym dowodem nieobecności Janiny. Ale nie! W pokoju młodej dziewczyny paliła się lampa, a teraz nawet stanęła ona sama przy oknie i zamknęła je. Więc była w domu a jutro zobaczy ją z pewnością.

Helence chodziło obecnie jedynie o to, gdzie noc przepędzi. Brama parku od dawna była już zamkniętą, nie chciała więc prosić odźwiernego i żony jego o otworzenie, jeżeli nie miała narażać się na ciekawe pytania. I przyszedł jej na myśl mały pawilon, który ojciec kazał raz wystawić na jej życzenie. Tam więc mogła przenocować, a nazajutrz rano wyjść niepostrzeżenie z parku, aby wieczorem znowu powrócić.

I tak przepędziła lady Helena Chesley, rozpieszczona córka milionowego lorda, całą noc na twardej ławie małego pawilonu, zbudowanego niegdyś dla jej przyjemności.

Gdy szła teraz tamdotąd, przybiegł nagle Hektor, jeden z ogromnych psów podwórzowych, i z głośnem szczekaniem rzucił się ku niej. Helenka zlękła się, wiedziała bowiem, że Hektor żartów nie znał, ale w tejże chwili poznał ją pies, przycisnął swoją potężną głowę do jej ręki i starał się wszelkiemi sposobami okazać jej swoją szaloną radość.

— Pies zawstydza ludzi — szepnęła biedna ze łzami w oczach. Ani mąż, ani najlepsza przyjaciółka nie poznali mnie, tylko to zwierzę nie zapomniało o mnie.

Hektor leżał całą noc na brzegu pawilonu, i rano dopiero oddalił się, zapewne na śniadanie. Z tej chwili skorzystała Helenka, towarzystwo psa bowiem byłoby ją mogło w wielki wprawić kłopot, i opuściwszy park, wróciła do Valden.

Wieczorem, około szóstej była już znowu w Suzwold. Dziś sprzyjało jej szczęście, bo zaledwie stanęła w altanie, ujrzała Janinę, wychodzącą z zamku. Młoda dziewczyna obeszła trawniki, potem zwróciła się w cienistą, szeroką aleję kasztanową.

Helenka wysunęła się z altany i z bijącem sercem czekała zbliżenia się. Janina tak była zamyśloną, że nic nie widziała i nic nie słyszała, co się w około niej działo.

— Janiu! — szepnęła Helenka.

Janina podniosła głowę i mimowoli spojrzała na niebo. Może myślała w tej chwili o zmarłej i rozbudzona jej fantazya wywołała to złudzenie.

— Janiu! — powtórzyła Helenka głośniej i wyszła z ukrycia.

Teraz cofnęła się Janina z krzykiem przerażenia, jak gdyby widmo ujrzała, a twarz jej zbladła śmiertelnie.

— Pani Moore! wyjąkała nareszcie, cóż cię tu sprowadza?

— Oh, Janiu...

— Kto pani jesteś! — zawołała młoda dziewczyna w najwyższem uniesieniu. Przychodzisz do mnie z głosem Helenki, a twarzą obcej, na miłość Boską, kto pani jesteś?

Zamiast odpowiedzieć, ukryła Helenka twarz w rękach i głośnym wybuchnęła płaczem.

Janina szybko zbliżyła się do niej, podniosła jej głowę i wpatrzyła się uważnie w jej oczy.

— Boże wielki — szepnęła bez tchu nieomal — zdaje mi się, że znam te oczy, i głos twój przypomina mi głos Helenki. Gdybym nie wiedziała na pewno, że lady Chesley nie żyje, to mogłabym przysiądz, że...

— Ależ ja jestem nią, przerwała Helenka. Jestem żoną Artura i najnieszczęśliwszą w świecie kobietą!

Janina krzyknęła, zaraz potem jednak odzyskała panowanie nad sobą.

— Nie, to nie prawda, rzekła, jesteś po prostu oszustką. Chcesz wyzyskać pewne podobieństwo do lady Chesley, ale muszę ci powiedzieć, że komedya ta jest niegodną. Moja kuzynka umarła.

— Oby tak było! szepnęła biedna żałośnie. Ach Janiu, czy ty nie chcesz mnie poznać?

— Nie mogę temu uwierzyć, odparła Janina, a w głosie jej brzmiała taka rozpacz, że Helenka znowu płakać zaczęła. Jakże możesz być Helenką? Nie, to jest oszukaństwo, bo ona nigdy by się do czegoś podobnego nie poniżyła. Lady Chesley nie żyje!

— Chciałabym, abyś miała słuszność, rzekła Helenka smutnie, ale ja rzeczywiście jestem twoją kuzynką. Ach Janiu, przemów do mnie jedno chociaż serdeczne słowo, ty jedyną jesteś moją nadzieją! Byłam nierozsądną, szaloną, sądziłam jednak, że wybaczysz mi i....

— Co znaczy to przebranie? przerwała Janina surowo. I co myśleć o tem, że żyłaś tak długo pomiędzy nami, podczas kiedy wszyscy opłakiwaliśmy twoją śmierć? Zapomniałaś, że włosy twej matki posiwiały z rozpaczy, że ojciec stracił całą chęć do życia, i że dziecko twoje wzrasta bez opieki i miłości macierzyńskiej? Nie, wybacz, ale ja nie pojmuję twego postępowania!

— Opowiem ci wszystko, tylko nie bądź tak surową! Nie mogę znieść twych zarzutów!

— Nie, Helenko, rzekła Janina, jeżeli rzeczywiście jesteś Helenką — nie chciałabym cię niesprawiedliwie osądzić, musisz jednak przyznać, że wszystko to jest tak dziwne — niespodziewane....

— Posłuchaj mnie tylko kilka minut! Wyznam ci całą prawdę.

I teraz rozpoczęła Helenka swoją spowiedź. O swej młodości, o miłości do Artura, o niezmiernem szczęściu, jakiego zaznała, zostając jego żoną, o tem wszystkiem nie potrzebowała mówić, ale to, co się później w jej sercu działo, było Janinie zupełnie nowem. Wszakże ona nie przeczuwała, że

Helenka stawała się z każdym dniem nieszczęśliwszą, gdy poznała, że serce jej męża należy do kuzynki.

Gdy skończyła, wyciągnęła błagalnie ręce, a Janina w serdecznym ujęła je uścisku.

— Więc wiedziałaś o tem, Helenko! szepnęła wzruszona. Ależ dziecko, czemu nie przyszłaś do mnie, czemu nie wyznałaś mi tego? O, ileż cierpień i łez byłabyś nam oszczędziła!

— Od chwili, w której zrozumiałam wszystko, skończyło się całe moje szczęście.

— Artur kochał cię przecież....

— O tak, on był dobrym dla mnie, odrzekła Helenka z gorzkim uśmiechem, ale ciebie — kochał, a ja wiedziałam, że jestem jedyną przeszkodą waszego szczęścia. Ach, nie pojmujesz, ile ja wycierpiałam, inaczej wybaczyłabyś mi moje szalone postępowanie. Czemu nie powiedziałaś mi wówczas, że jesteś z nim zaręczoną? Byłabym się cieszyła waszem szczęściem i wszystko byłoby inaczej.

— Ależ ja chciałam spełnić ostatnie twoje życzenie, przypomnij sobie!

— Ach, czemuż nie umarłam owego dnia! jękła Helenka z rozpaczą. Życie stało mi się męczarnią, czemu je ocaliłaś, Janiu!

— Zapominasz, czem byłaś dla rodziców i dla nas wszystkich, odrzekła Janina poważnie.

Helenka oparła głowę na jej ramieniu i płakała.

— Dlaczego wróciłaś znowu do Anglii i do domu twego męża, zapytała Janina po chwili milczenia? Wszakże chciałaś sama, abyśmy cię uważali za umarłą!

— Nie rozumiesz tego? Czy nie wiesz, że istnieje miłość najwyższa, najświętsza, miłość matki dla dziecka? Tęsknota za niem męczyła mnie dniem i nocą i dlatego tylko wróciłam, aby ujrzeć raz chociaż mój skarb najdroższy. Myślałam, że to mnie uspokoi, że będę żyć dalej sama i nieznana, ale wszystko stało się przeciwnie. Gdy zobaczyłam dziecko, nie mogłam się już z niem rozłączyć i tak zostałam!

— Nie mogę tego doprawdy jeszcze pojąć, zawołała Janina, pocierając czoło. Skoro pomyślę, że widziałam cię, że rozmawiałam z tobą i że cię nie poznałam! I dałam ci nawet pieniędzy!

— Z któremi nigdy w życiu już się nie rozłączę. O gdybyś wiedziała, jakiem dobrodziejstwem dla mnie była twoja uprzejmość i dobroć!

— Ale cóż cię nagle skłoniło do złamania postanowienia uchodzenia za umarłą? zapytała nagle Janina.

Helenka spuściła głowę i milczała.

— Twoje zaręczyny z Arturem! szepnęła po chwili nieśmiało. Bo przecież on się ożenić nie może, póki ja żyję!

Janina z rozpaczą zacisnęła ręce.

— Powierzyłam ci moją tajemnicę, mówiła Helenka dalej, i wiem, że mnie nie zdradzisz. Ale musisz się wyrzec Artura.... Oh, Janiu, ile ty cierpisz z mojego powodu!

— Jakto, zawołała Janina, żądasz, abym milczała? Mam odgrywać dalej twoją nędzną komedyą, stać się twoją wspólniczką i stać się winną osukiwania ludzi? Jakżebym mogła spojrzeć w oczy twoim rodzicom?

Helenka błagalnie wyciągnęła rękę, a ciało jej drżało, jak we febrze. Czuła, że Janina ma słuszność, a pomimo to nie chciała za nic w świecie zrzucić swojej maski.

— Nie mogę, mówiła z przytłumionem łkaniem, nie mogę się tak prędko zdecydować na powrót do świata! Ach jak okropnem byłoby znowu moje życie! Wiem, że ciężko ci będzie zachować milczenie, ale cóż znaczy twoje cierpienie w porównaniu do mego! Ty wiesz, że Artur kocha ciebie, ja zaś wiem, że stoję pomiędzy wami i że z mego powodu nigdy szczęśliwymi nie będziecie!

Noc dawno zapadła, a Helenka i Janina siedziały ciągle jeszcze na ławce i nie zważały ani na czas, ani na ciemność. Obiedwie były teraz dosyć spokojne, chociaż Janina nie przestawała prosić kuzynki o wyrzeczenie się dalszego odgrywania komedyi.

— Jakżebym mogła żyć nadal obok Artura, upierała się Helenka, jeżeli wiem, że jestem ciężarem i przekleństwem? Nie wymagaj tego odemnie, Janiu!

— A jeżeli — on cię — kocha?

— O, gdyby mnie kochał, gdyby tęsknił za mną -- to byłoby zupełnie inaczej! Ale o tem mowy nie ma!

— Nie możesz jednak wracać już do Ashbrok! Czy nie wiesz, że to jest nieuczciwie z twej strony, żyć pod taką maską w domu twego męża?

— Może być, ale nie chodzi mi o to. Ja myślę jedynie o mojem dziecku. Nie mam innego celu na świecie, jak opiekować się Stellą. Ale przyrzekam ci, że gdybym kiedykolwiek się przekonała, że Artur zatęsknił za mną, wtedy przyjdę znowu do ciebie!

Janina nie nalegała dłużej, widząc, że wszelkie jej prośby są daremne.

I tak pożegnały się obiedwie, płacząc gorzko, ale przekonane o swej dawnej wzajemnej przyjaźni i miłości. Gdy Janina nazajutrz zeszła na śniadanie, spojrzała lady Marstone na jej twarz i rzekła zatrwożona:

— Co ci się stało, Janiu? Wyglądasz tak, jak gdybyś od wczoraj zestarzała się o lat dziesięć.

— Ujrzałam widmo mego straconego szczęścia, odpowiedziało dziewczę z smutnym uśmiechem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY.

Janina upadała formalnie pod ciężarem rozpaczy. Całemi godzinami siedziała nieporuszona w swoim pokoju, nie mogąc zebrać myśli. Helenka żyła, a to znaczyło dla niej wyrzeczenie się wszelkiego szczęścia. Już po raz drugi była tuż u celu swych marzeń, będąc tym razem pewną, że nic nie zdoła przeszkodzić ich spełnieniu się, tymczasem wszystko znów się rozproszyło, jak bańki mydlane.

Cóż miała Arturowi powiedzieć? Prawdy wyznać nie mogła, powodów innych nie było, a wiedziała, że Artur zanadto ją kocha, aby się zadowolić pierwszą lepszą wymówką. Z tem wszystkiem musiała się spieszyć, bo czas mijał szybko. Przygotowania do ślubu w pełnym już były biegu.

Janina stanowczą była zawsze i odważną, ale teraz, gdy zaczęła list do Artura, brakło jej słów na wypowiedzenie tego, co mu powiedzieć musiała.

W końcu rozpacz dodała jej sił. Wszystko się między nimi skończyło, pisała, o małżeństwie ich nigdy mowy być nie może. Powodu nie wolno jej wyjawić, ale postanowienie to jest niezłomne i nic w świecie zmienić go nie zdoła.

Każde słowo w tym liście było wyrazem beznadziejnej rozpaczy, a gdy go oddawała na pocztę, zdawało jej się, że serce jej musi pęknąć z bólu i żałości.

Helenka nie zapomniała dnia, w którym Artur otrzymał list Janiny. Bawiła się właśnie z Stellą, gdy wbiegł do pokoju, blady i zmieszany. Uścisnął dziecko i zwrócił się do obecnej także gospodyni.

— Wyjeżdżam na dwa dni, rzekł krótko.

— Weźmie milord kamerdynera z sobą? zapytała pani Bird.

— Nie, jadę sam. Otrzymałem nieprzyjemne wiadomości i muszę się spieszyć.

— Co się stało! zawołała gospodyni po jego odejściu. — Służący powiadał mi, że milord otrzymał dziś jakiś list, i że zdawał się bardzo być nim zmartwiony. Dałby Bóg, aby nie chodziło o miss Burton! Nasz pan bardzo jest dobrym i życzę mu jak najwięcej szczęścia!

Helenka milczała. Znała ona bardzo dobrze treść tego listu i zdawało jej się, że słyszy całą rozmowę Artura z Janiną tak, jak gdyby była tam obecną. Artur będzie błagać o wyjawienie mu powodu tego nagłego zerwania, Janina zaś pozostanie niewzruszoną i spokojną. W każdym razie Helenka cierpiała okropnie i wyrzucała sobie gorzko swoje szaleństwo.

— Gdybym była znosiła z pokorą moje nieszczęście, myślała, — gdybym się była starała o pozyskanie miłości mego męża, zamiast oddawać się zazdrości i rozpaczy, to dziś wszystko byłoby inaczej. Oby mi Bóg przebaczył mój postępek nierozważny!

I lękała się powrotu Artura, nie mogąc sobie wytłumaczyć długiej jego nieobecności. Gdzież on mógł być?

Czyżby Janina zdradziła jej tajemnicę? Nie, o tem nie było mowy, ale czemu Artur nie wracał?

— — — — — — — — — — — — — —

Rozmowa obojga narzeczonych, których los tak ciężko doświadczał, bardzo była krótką. Lord Chesley pojechał wprost do Suzwold i udał się natychmiast do pokoju Janiny.

— Co znaczy twój list? zapytał, ujmując jej ręce. — Wiesz przecież, że żadna siła ludzka nie wydrze mi ciebie.

— Nie mów tak, szepnęła, a oczy jej napełniły się łzami.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ślązakom.

Bez skandalu nie może obyć się znów Kraków;
Nie przyjęto skromnego daru od Ślązaków!
Nie martwcie się Ślązacy, bowiem część niezgniła
Narodu wie, że w ludzie leży nasza siła.

On nie pięćset lat żyje, ale lat tysiące,
O niego się rozbiją moce nas gnębiące.
Profesor i bakałarz mogą świecić w szkole,
Lecz chleb lud nam przynosi w trudzie i mozole.

Czem są patryotyzmy szlacheckie i pańskie
Mówią aż nazbyt jasno frymarki poznańskie;
Patrząc na nie aż dusza krwawi się i zżyma —
Tylko polski chłop polską ziemię jeszcze trzyma.

Szlachetny ludu śląski, niech ci Bóg pomaga,
Ciebie dotknąć nie może „królewiąt“ zniewaga!
My, co w Polskę wierzymy, szlemy w twoje progi
Serdeczne: Bóg ci zapłać za twój dar ubogi!

D.

Przechadzki po wystawie.

Ponieważ „Praca“ podała już dokładny spis wystawców, nagrodzonych na wystawie, wyliczaniem ich zajmować się już nie będę. Zaznaczę tylko, że w każdym niemal dziale chowu inwentarza polskie gospodarstwa były reprezentowane i chociaż nielicznie, przynosiły rolnictwu naszemu zaszczyt.

Pouczającem było zwiedzenie pawilonu wystawionego przez izbę rolniczą. Opisanie tego pawilonu wymagałoby osobnego artykułu — na tak obszerne rozmiary zaś pogadanka moja nie obliczona. Zaznaczę tylko, że wystawiono tamże profile pokładów ziemnych z rozmaitych stron naszego Księstwa, że w szeregu skrzynek umieszczono zboża, nad któremi można było robić studya porównawcze, co do działania światła rozmaitego zabarwienia. Pokazało się, że białe światło dzienne najlepiej wpływa na rozwój roślin. Dalej można było porównywać skutek różnych nawozów, na poszczególne rośliny kłosowe. Stały też tam duże szklane słoje, dające poznać wysokość plonu osiągniętego dawkami różnych nawozów. Wreszcie unaoczniono wartość naszych cukrowni. Słowem było to cenne studyum rolnicze, z którego fachowy a myślący człowiek, znaczne mógł odnieść korzyści.

Przypomina mi się jeszcze z działu wystawy inwentarza, fakt dosyć obszernie opisywany w pismach codziennych. Znana z celujących okazów zarodowa owczarnia p. hr. M. Kwileckiego z Oporowa wystawiła w dziale owiec tryka, szlachetnych a przytem silnych form, o znakomitej wyrównanej wełnie, — okaz, któryby w innych warunkach zyskał złoty medal. Lecz sędziowie osądzili, że tryk zameldowany został do nieodpowiedniej klasy i dlatego wyłączono go od ubiegania się o nagrodę. Pan hr. M. Kwilecki ogłosił list, którego zakończenie, ponieważ tkwi w niem niezrównany humor, podaję: „Barana tego wyślę do Halli na wystawę i umieszczę go w klasie Stoffwolle, oby tylko sędziowie znowu nie uznali, że należy do innej klasy — (Tuchwolle)“.

Zdaje mi się, że ten tryk był dlatego niestosownym do nagrody, bo miał na sobie *„polską“* wełnę.....

Obfitym był także dział nasion. Z polskich firm wystawiła piękną kolekcyą nasion i okazów roślin, firma Otmianowski i Bąkowski, z polskich właścicieli wystawców odznaczało się korzystnie ziarno wystawione przez p. Lossowa z Grabonoga.

O dziale maszyn, niezmiernie obfitym, nie będę się już rozpisywał, bo przecież tylko *przechadzam* się po wystawie, i w lot chwytam to jedynie, co najwięcej podpada, zaznaczyć jedak muszę, że razem z rozwojem rolnictwa podniosło się także mleczarstwo.

A teraz jaki facit z tej wystawy dla nas?

Wystawców Polaków było nie wielu, lecz to, co wystawiono, było wyborowe. Jest to pocieszającem, podnoszącem moralnie, przekonującem, że jesteśmy narodem zdolnym, żywotnym i umiejącym korzystać z tego wszystkiego, co postęp czasu ludzkości przynosi.

Lecz jestem pewien, a przynajmniej przypuszczam, że będzie z tej wystawy dla nas i praktyczny rezultat. Oto przybyło z Królestwa Polskiego wielu poważnych obywateli, reprezentantów syndykatów rolnych. Miałem sposobność rozmawiania z nimi. Oto mówili mi ci panowie: *To, co widzieliśmy, przechodzi nasze oczekiwania. Nie żałujemy dalekiej drogi, bo dziś wiemy, że już nam nie potrzeba sięgać po bydło rozpłodowe do Fryzów, do Holandyi, do Simmentalu w Szwajcaryi, do Holsztynu, nie potrzebujemy dziś wzbogacać obcych handlarzy bydła, owiec, trzody, ponieważ zapotrzebowania nasze możemy pokrywać w naszych polskich gospodarstwach. Ba! postępując tak, wyjdziemy na tem nawet lepiej, ponieważ rasy u nas wyhodowane nic nie straciły na sile przekazywania swych cech właściwych potomkom, a przyzwyczaiły się do klimatu, do pastwisk, podobnego do naszego klimatu, i zbliżonego do naszych warunków pastwiskowych.*

Oto praktyczny facit tej wystawy. Mógłbym na tem zakończyć, zwrócę jednak jeszcze uwagę na przedmiot, na który dotąd nikt nie zwrócił uwagi. Na wystawie tej można było robić znaczne studya ludoznawcze. Pomijam już spotykanych licznie niemieckich agraryuszów, a zwracam się do typów ludowych niemieckich. — Spotykałem Germanów z Holsztynu, z Fryzyi, z Holandyi. Chłopy suche, brodate, niektórzy o odcieniu włosa rudym, fizyonomie mroczne, rysy nieregularne, ruchy szorstkie. Mogli to być ludzie w gruncie rzeczy najpoczciwsi i najlepsi, lecz wygląd ich nie był obiecującym. Porównywałem ich w myśli z naszym ludem wielkopolskim, hożym, dorodnym, o wesołej otwartej twarzy, o poczciwem spojrzeniu, o rysach regularnych — i rzekłem do siebie w duchu: Panie Boże dziękuję ci, że, lubo jestem tak, jak i wszyscy bracia nasi w niewoli i zależności, nie potrzebuję tamtych mrocznych posępnych, kosmatych i szorstkich postaci uważać za spółplemieńców. *Verus.*

†

Nekrologia.

Dnia 16 czerwca br. po południu o godzinie 5 odprowadzono zwłoki ś. p. dr. fil.

Kaźmierza Janowskiego

na cmentarz krakowski na wieczne spoczywanie a niezliczone tłumy biorące serdeczny udział w pogrzebie dały niezbity dowód gorącej sympatyi, życzliwości i przyjaźni, jaką sobie nieboszczyk przez czas krótkiej bytności swej w Krakowie zjednał oraz wyraziły współczucie, jakie tragiczny nad wyraz zgon jego wywołał *)



Śp. Dr. fil. Kaźmierz Janowski.

S. p. Kaźmierz, urodzony w Poznańskiem w 1872 r., ukończył gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu, a potem wśród trudnych warunków odbywał studya historyczne i filologiczne w Berlinie, gdzie je w r. 1897 ukończył, zyskując na tymże uniwersytecie stopień doktorski. Poświęcił się był zawodowi nauczycielskiemu, a przewidując, że w dzisiejszych warunkach nie będzie mógł w Poznańskiem na polskiej pracować niwie, przeniósł się do Krakowa, by tutaj wśród krakowskiej młodzieży krzewić miłość wiedzy, prawdy, ojczyzny.

Takie świadectwo zdał o nim nad grobem przemawiający jeden z uczniów jego. Jak głęboko i szczerze pojmował i pełnił on obowiązki nauczycielskie, świadczy o tem może najlepiej wieniec, złożony na trumnie przez „uczniów-przyjaciół.“ Nie chciał być uczniom swym jedynie mentorem, prawiącym z katedry, ale był im serdecznym doradzcą, starszym przyjacielem, umiejąc i mogąc tutaj zadzierzgnąć węzeł idealny, łączący ucznia z nauczycielem.

Pisano i mówiono już o nim, że był człowiekiem zdolnym, pracowitym, obowiązkowym; niechże temu, który znał go niemal od pacholęcych lat i częściowo studya gimnazyalne i uniwersyteckie z nim odbywał, będzie wolno tu podnieść, że był on przedewszystkiem czło-

wiekiem dobrej woli, i ta to dobra wola kazała mu zdolności swe i siły nieść ojczyźnie i społeczeństwu swemu na usługi. Przeniósł się był do Krakowa, a przecież tak silne były węzły, jakie go z bliższą ojczyzną jego, z Poznańskiem, łączyły, że i ztąd starał się w Poznańskie rzucać swoje zdrowe ziarna, umieszczając czy to w „Pracy“, czy w innych pismach swoje artykuły, a treścią ich było zawsze, jak bronić się w Poznańskiem od zalewu germanizacyi. Jako człowiek czynny a dobrej woli wywoływał on wszędzie, gdzie przyszedł, wpływ dobry i umoralniający. To też słusznie powiedziano o nim, że „chociaż żył krótko, przeżył czasu wiele“, a my dodajemy: „że byłaby też ta ojczyzna biedna, gdyby dla Ciebie zginionego młodo łzy nie znalazła.“

Nie tylko rodzice starzy, rodzeństwo, nie tylko narzeczona nieszczęśliwa i przyjaciele bolesną stratę ze śmiercią jego ponieśli, ale ponieśli ją ci wszyscy, co znając go, mieli prawo po nim się spodziewać dużych i rzetelnych przysług, społeczeństwu oddanych.

Odszedł przedwcześnie z zagonu ledwie zaoranego i ledwie ziarno nań rzucać począł, — niechże mu ta ziemia krakowska, na której chciał żyć i pracować, da błogosławione spoczywanie!

St. W.

---

*) S. p. Janowski poszedł w towarzystwie jednego ze swoich kolegów do pływalni ogrodu krakowskiego. Oprócz nich kąpało się jeszcze kilku młodych ludzi. Kolega dr. Janowskiego wyszedł z wody i zaczął się ubierać, wezwawszy przedtem towarzysza, aby również z wody wychodził. Odpowiedział: „Zaraz; tylko jeszcze trochę popływam.“ Nagle rozlegają się krzyki: „tonie! utonie!“

Stała się rzecz dziwna, nie wytłomaczona: nikt tonącemu nie pospieszył na ratunek! — Po półgodzinnej dopiero naradzie wzięto się do spuszczania stawu, lecz przedtem nadbiegł p. Stypkowski, artysta teatru lubelskiego, i ten wreszcie wyciągnął z wody, ale już tylko trupa. — Przyp. Redakcyi.

Wiadomości literackie i artystyczne.

Nakładem Księgarni Polskiej W. Templowicza w Poznaniu wyszedł *„Zarys Dziejów Polski Porozbiorowej z dodaniem najważniejszych wiadomości z literatury i geografii polskiej. Wydanie drugie znacznie pomnożone i wielu nowemi illustracyami ozdobione 1900.*“

Książka ta znajdować się powinna w każdym polskim domu. „Uczmy się dziejów ojczystych — słusznie pisze wydawca w przedmowie — to niech będzie głównem zadaniem naszem a mianowicie zadaniem młodzieży!“

* * *

Nakładem Towarzystwa wydawniczego we Lwowie wyszły i są do nabycia w księgarni A. Cybulskiego w Poznaniu następujące książki: Władysław Orkan. „Nad urwiskiem. Szkice i obrazki.“ Kazimierz Wróblewski „Skargi Jemiego, Szkic literacki.“ Stanisław Przybyszewski, „Androgyne“.

* * *

Nakładem Zarządu głównego Towarzystwa Kółek rolniczych we Lwowie wydane zostały następujące nowe broszurki: L. 5. Karol Siejnawski: „Jak się starać o trafiki i jak je prowadzić należy?“ Cena 6 h. L. 6. Bolesław Pobóg Górski: „O uprawie buraków cukrowych“ Cena 16 h. L. 7. Józef Mikułowski-Pomorski: „W jaki sposób należy kupować nawozy sztuczne?“ Cena 4 h. Nabywać można albo w Zarządzie głównym Towarzystwa Kółek rolniczych we Lwowie ul. Kopernika 19, albo w księgarniach (Skład główny księgarnia Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie.)

* * *

Szósty rocznik pamiętników Towarzystwa literackiego imienia Adama Mickiewicza. Lwów. Rocznik ten zarówno co do doboru treści, jak i co do objętości swej okazale się prezentuje. Wprawdzie napotykamy dużo rzeczy nie mających istotnej wartości i świadczących o tem, że system Hösickowski, bagatelizujący monografie literackie, przyjmuje się u nas; lecz obok tego są prace bardzo cenne i interesujące. Do tych zaliczyć trzeba studyum o autografach Mickiewicza, wtajemniczające nas w sposób twórczości poety. Nader ważną jest praca prof. Tretiaka p. t. „Cześć Mickiewicza dla Najświętszej Panny.“ Z innych autorów wymienimy Piniego o przeróbce poezyi Garczyńskiego dokonanej przez Mickiewicza, Bruchalskiego („Kilka motywów ludowych w poezyi Mickiewicza“), Edwarda Porębowicza i M. Kawczyńskiego.

Wyróżnia się z pomiędzy innych wytknięciem zupełnie nowych dróg i badaniem twórczości poety rozprawa W. Nehringa o „społecznych poglądach Adama Mickiewicza“. Ścisła i sumienna praca prof. R. Piłaka, pod redakcyą którego ukazują się „Pamiętniki“. o autografach Pana Tadeusza, jest dalszym ciągiem studyów nad genezą i kompozycyą artystyczną poematu, rozpoczętych w V tomie „Pamiętnika“. Piotr Chmielowski kończy cenne swe studyum o estetyce Mickiewicza, artykuł St. Tarnowskiego o Konradzie Wallenrodzie dopełnia reszty. Znany krytyk ocenia w swej pracy „Konrada“ ze stanowiska artystycznego.

Artur Gruszecki. Dla miliona. Warszawa 1900. Znany powieściopisarz p. Artur Gruszecki wydał obecnie w książkowem wydaniu powieść, która pierwotnie drukowana na łamach „Ateneum“ i „N. Reformy“ duże budziła zainteresowanie. W całości przedstawia ona w większym stopniu może niż inne powieści tegoż autora wybitny pierwiastek społeczny. Prawie wszystkie powieści p. Gruszeckiego osnute są na tle ekonomicznem, na stosunkach fabryczno-przemysłowych, na stosunku fabryki do pracującej jednostki. Pierwiastek ten, wspólny wszystkim powieściom p. Gruszeckiego, silniej jeszcze występuje w powieści „Dla miliona“. Rzecz to osnuta na tle stosunków walki przemysłu krajowego galicyjskiego z konkurencyą żywiołów napływowych.

* * *

Księga rzeczy polskich opracował G.(loger). Przed paru laty pod powyższym tytułem ukazała się książka „o rzeczach polskich“ t. j. o sejmach, trybunałach i wiecach, o dostojeństwach Rzeczypospolitej, bezkrólewiach i konfederacyach. W krótkim czasie wydanie pierwsze się rozeszło. Witamy obecnie wydanie drugie, znacznie zwiększone, a witamy je z tem większą przyjemnością, że rozkupienie pierwszego wydania świadczy o niestygnącem zamiłowaniu do rzeczy swojskich wśród naszego społeczeństwa. Świadczy też i o tem, że, choć książka na zewnątrz niepozorna, ogół umiał ocenić jej wewnętrzną wartość. Książka p. Glogera nosi piętno długoletnich mozolnych nieraz badań a w przeszło pięciustach artykułów zawiera i dla przeciętnego czytelnika i dla historyka niejedną rzecz pouczającą, wyrywa z toni zapomnienia niejeden szczegół drogi sercu polskiemu. Alfabetyczny układ książki każe w niej widzieć rodzaj encyklopedyi „rzeczy polskich“ — która oby do wszystkich domów polskich trafiła.

* * *

Szkółka domowa — tygodnik dla młodzieży i dzieci — wychodząca rok 6-ty w Poznaniu pod umiejętną i zdolną redakcyą pani Heleny Rzepeckiej, powinna się znajdować w każdym polskim domu. Kosztuje kwartalnie w Poznaniu i na pocztach tylko 1 markę. Treść numeru 25-go „Szkółki“ jest następująca: Boże Ciało, ułamek z niewydanych poezyi śp. Ludwika Rzepeckiego. — Jubileusz krakowskiej akademii. — Z życia żaków krakowskich, w ostatnim numerze lwowskiego „Przyjaciela Młodzieży“ artykuł ten umieścił dr. Fr. Krczek. — Dolina Ojcowska (z ryciną). — Dzieci Warszawy, opowiadanie dla młodzieży, Zofii Bukowieckiej. — Wiersze: Pies psem. — Dary św. Jana Chrzciciela. — A. B. C. — Szarady. — Zagadki i t. d.

Od Towarzystwa polskiego wzajemnej pomocy i dobroczynności w Konstantynopolu otrzymujemy z prośbą o umieszczenie następującą

Odezwę:

„Do szanownych Rodaków w Polsce na cześć naszego nieśmiertelnego Wieszcza Adama Mickiewicza.

Wspaniałe ofiary Narodu Polskiego, przejętego patryotyzmem przyczyniły się, że pomniki na cześć Jego stanęły w Warszawie, w Krakowie, a wkrótce stanie we Lwowie, i zebrano wiele pamiątek, które teraz są święcie zachowane w muzeach narodowych. Jednakże zapomniano o jednej pamiątce, a tą jest dom, miejsce Jego śmierci w Konstantynopolu.

Przed 20 laty żył obywatel Józef Ratyński, który zakupił to miejsce i wybudował mały domek, zupełnie na wzór oddawna spalonego i umieścił nade drzwiami pamiątkową tablicę. Dzisiaj wdowa po panu Ratyńskim jest zmuszoną jak najspieszniej sprzedać ten dom na wychowanie licznej familii. Przeto ów dom Mickiewicza przejdzie w cudzoziemskie ręce, gotowe prędzej do zniszczenia tak drogiej pamiątki aniżeli do zachowania.

Towarzystwo Polskie Wzajemnej Pomocy i Dobroczynności w Konstantynopolu, założone 22 lutego 1885 roku, ma zamiar i robi wszelkie starania dla zakupienia tego domu, ponieważ nie posiada lokalu stałego, potrzebnego dla zebrań, umieszczenia biblioteki i przytułku dla biednych rodaków, ale mała ilość niezamożnych członków jest w niemożności zebrania 10,000 franków, potrzebnych na zakupienie, przeto najuprzejmiej prosi szanowną Redakcyą „Pracy“ o umieszczenie niniejszej Odezwy w swym tygodniku illustrowanym i o urządzenie składki w tym celu. Suma 10,000 franków nie jest tak wielką dla całego Na-

rodu Polskiego — dla nas zaś 20 członków bez żadnych środków podczas ogólnej biedy i kryzys panującej w Turcyi trudno i jest niepodobieństwem myśleć nawet o zakupieniu domu, w którym umarł Adam Mickiewicz.

W. Misurski. prezes. *Michał Grabowski,* wiceprezes.
Adam Michałowski, sekretarz. *F. Kowalski,* skarbnik.
I. Zarzecki, bibliotekarz."

(Składki na cel powyższy chętnie przyjmować będziemy. — Przyp. Red. „Pracy".)

Wiadomości.

Procesye doroczne Bożego Ciała odbyły się w mieście naszem przy pięknej pogodzie we wzorowym porządku. Ulice i place, któremi przechodziły procesye, były przystrojone pięknie i gustownie, a w niektórych miejscach nawet artystycznie w kwiaty, wieńce, obrazy i figury Świętych. Napływ wiernych, mianowicie na procesye niedzielne na Starym Rynku był nadzwyczaj wielki. Te kilkunastotysiączne tłumy pobożnych żywo zadoku-

mentowały w wzniosłej pięknej pieśni:

„Twoja cześć, chwała, nasz wieczny Panie,
„Na wieczne czasy niech nie ustanie!“

że zakusy „naszych najserdeczniejszych“ zgermanizowania nas spełzną na niczem i że na wieczne czasy nucić będziemy pieśni do Najwyższego w najdroższym nam ojczystym języku, którego nam nikt wydrzeć nie zdoła.

Na dwa miesiące więzienia stosownie do wniosku prokuratora skazała dnia 21 b. m. tutejsza izba karna sądu ziemiańskiego odpowiedzialnego redaktora naszego tygodnika, p. Władysława Siemiątkowskiego, za obrazę komisyi kolonizacyjnej. Tego karygodnego czynu dopatrzono się w artykule wstępnym, zamieszczonym w numerze 12-ym „Pracy“, z dnia 1-go kwietnia r. b. p. tyt. „Lojalni i wierni poddani.“ Bliższe szczegóły procesu podamy w następnym numerze „Pracy.“

Do dzisiejszego numeru dołączamy karty korespondencyjne z portretem Sienkiewicza.

Do skompletowania kwartalników potrzebny nam jest numer 24 z dnia 10 b. m. Szan. Czytelników upraszamy o łaskawe nadesłanie nam tego numeru, za co im się w inny sposób wywdzięczymy.

Na fundusz jubileuszowy dla Józefa Chociszewskiego złożyła w dalszym ciągu na ręce nasze pani R. Potworowska z Czerteża p. Żurawno w Galicyi 1,36 mk. Razem złożono 75 marek 78 fenygów. Dalsze datki na cel powyższy przyjmujemy chętnie.

Sprostowanie. Ś. p. Teodor Dembiński nie był właścicielem Lubczyny, jak podaliśmy w nekrologii w numerze 29-ym, ale dzierżawił ją od spadkobierców po ś. p. Stanisławie Karśnickim.

Kolonie wakacyjne. Prosząc gorąco ponownie o gościnność dla naszej biednej dziatwy szkolnej, mamy nadzieję, że czcigodne Duchowieństwo i szanowne Obywatelstwo nie odmówi nam pomocy przy tak sympatycznym celu i nie zamknie serc swych dla potrzeby piekącej. Wydział Kolonii wakacyjnych Tow. *„Stella“.*

Egzamin. Dnia 12 b. m. złożył na wszechnicy berlińskiej państwowy egzamin na aptekarza p. Tadeusz Kortak z Poznania, syn członka dyrekcyi Banku przemysłowców.

Kupno. Gospodarz p. Paul, Polak, z Małego w powiecie poznańskim, kupił od p. Stocka majątek Wielkie również w powiecie poznańskim.

Sprawozdanie z czynności całorocznej „Banku tak zw. włościańskiego“, Towarzystwa akcyjnego w Poznaniu. Bank załatwiał wszelkie interesa bankowe, przytem regulował hipoteki i ułatwiał spłaty wynikłe z oczyszczenia hipotek, celem rozparcelowania posiadłości na mniejsze części. Na subhaście nabył wieś Wierzyce, ale ją w krótce sprzedał. Nowo nabyty dom przy placu Wilhelmowskim urządził Bank stosownie w tylnem zabudowaniu, gdzie stałą obrał siedzibę. Skarbiec stalowy zbudowany wedle najnowszych ulepszeń technicznych, daje klientom dogodność bezpiecznego i dyskretnego przechowywania papierów i kosztowności w osobnym dla każdego przedziale pod własnym kluczem, a sam w nim zabezpiecza wszelkie zasoby pieniężne. Obrót bankowy wynosił około 5 milionów marek. Dywidendy wypłacił Bank za rok ubiegły 8 procent. Pogląd na liczby bilansowe w roku 1899 następujący: Funduszu rezerwowego było 197,231 mk. — depozytów 1,329,781 mk. — kredytorowie 163,668 marek. Debitorowie 197,460 marek — weksle 546,057 mk. — hipoteki 563,175 mk. — lombard 174,102 mk. efekta 1,147,188 mk., koszta handlowe 24,239 mk. Dywidenda 8 procent. Radę nadzorczą Banku stanowili: pp. Mieczysław hr. Kwilecki; dyrektorem dr. Buski; komisya rewizyjna składała się z pp. dr. Dziembowskiego, dr. Jerzykowskiego i dr. Mieczkowskiego.

Gniezno. Rodak nasz, p. Bernard Bartkiewicz z Gniezna, właściciel fabryki maszyn, znany w szerszych kołach jako pracowity i postępowy przemysłowiec, uzyskał w tych dniach patent pod nr. 113,032 na wyrób sprężyn do parowych tłoków, które pod nazwą „Herkules'a“ do parowych maszyn (Herkules Dampfkolbenliderung) sam fabrykować zamierza. Sprężyny mają tę zaletę, iż są zawsze zupełnie szczelne, nawet przy całkowicie nierównym cylindrze. — Pan Adam Prążyński wieś swoją Siemianowo sprzedał p. Wilkoszewskiemu.

Rogoźno. We wtorek, dnia 5 czerwca r. b. zawiązało się w mieście naszem Towarzystwo polskich kołowników „Gwiazda“. Prezesem Towarzystwa obrano pana Dyonizego Brykczyńskiego, sekretarzem p. Edmunda Moczyńskiego, zastępcą p. Franciszka Koczorowskiego, kasyerem p. Romana Rymarkiewicza. Z pomiędzy znacznej liczby członków, p. Stanisław Hudzicki mianowany pierwszym przodownikiem jazdy, drugim p. Czesław Brzozowski. Pod koniec posiedzenia szanowny Prezes wyjaśnił w słowach zrozumiałych zgromadzonym cel i obowiązki Towarzystwa. *E. Mroczyński*, sekretarz.

Proces o zdradę stanu. W Lipsku w sądzie rzeszy odbędzie się w poniedziałek 25 b. m. termin w sprawie p. Witołda Leitgebra z Ostrowa, mistrza krawieckiego p. Jana Kolędy i drukarza p. Zygmunta Melerowicza z Dortmundu, oskarżonych o zdradę stanu, czyli o rzekome przygotowanie oderwania pewnej części państwa od całości wedle § 86, w połączeniu z § 81 kodeksu karnego. Paragraf 86 grozi ciężkiem więzieniem albo fortecą do 3 lat a w razie łagodzących okoliczności fortecą od 6 miesięcy do 3 lat. Obrońcą p. Leitgebra będzie radca sprawiedliwości p. Scheele, p. Kolędy adwokat p. dr. Bürek, p. Melerowicza adwokat p. dr. Junck.

Kraków liczył w pierwszym kwartale b. r. 84,869 mieszkańców, a mianowicie 63,286 chrześcian, 21,583 żydów; 40,661 mężczyzn, 44,200 kobiet.

Tarnobrzeg, (w Galicyi). Celem uczczenia rocznicy 25-letniej pracy na polu powieściopisarstwa Henryka Sienkiewicza, urządzają włościanie z powiatu tarnobrzeskiego w Tarnobrzegu w lasku obok „Pohulanki“ w niedzielę dnia 24 czerwca r. b. uroczyste przedstawienie. Program: Muzyka „Harmonii“ odegra utwory narodowe. Odczyt o Henryku Sienkiewiczu. Deklamacye. Śpiewy narodowe. Podpisywanie adresu do Jubilata. Sprzedaż książek pod tytułem: „Bartek zwycięzca“. Ognie Sobótki. — Komitet składają: Wojciech Wiącek. Jan Frankiewicz. Stanisław Stala. Władysław Ossowski. Walery Wryk. Walenty Dąbek. Wawrzyniec Gąsior. Tomasz Sawarski. Jan Ster. Michał Żak. Wojciech Farbisz. Wojciech Słonka. Jan Słonka.

„Die Woche“, ilustrowany tygodnik niemiecki, zaliczający bardzo wielu Polaków do swych abonentów, już kilkakrotnie pomieszczał antipolskie artykuły; świeżo znów ubolewa nad tem, że w sądownictwie pruskiem wolno jeszcze stronom żądać tłómaczów w niektórych wypadkach. Wystarczy zapewne zwrócić na to uwagę naszym czytelnikom.

Od Redakcyi.

Swój. Ponieważ artykulik nadesłany nam przez Szan. Pana już zamieścił „Pielgrzym“ w nr. 68-ym, więc nie chcąc się powtarzać, nie zamieścimy go w „Pracy“.

Panu Wiktorowi Lit. w Zweibrücken. Za „Pracę“ i „Czytelnię Polską“ 3 marki.

Panu Kra. w Lisku, Galicya. Już wyczerpane.

Panu Bronisławowi J. w Bytowie, (Bütow Pomerania). W księgarniach Tempłowicza lub Cybulskiego w Poznaniu. Wiersz: „Przed Twe Ołtarze“ i t. d. nie jest karygodny. Można też dać podpis: „Jeszcze nie zginęła!“

Panu L. S. w Śmiglu. Ten kometa.

Pani Z. Z. w Wejherowie. Księgarnia Tempłowicza w Poznaniu, hotel Francuzki.

P. L. Jastrzębski, Hamburg. Księgarnia Leitgebra w Poznaniu, ulica Wilhelmowska.

Pan J. Mrówczyński, Kępno. Księgarnia Polska w Poznaniu, ulica Wilhelmowska, hotel Francuski.

Pan Kręglewski, Wągrówiec. Num. „Pracy“ z I-go kwartału wyczerpane. Prosimy zaabonować na poczcie.

Ajencya Dzienników J. H. i A. S. Kraków. Życzony numer wyczerpany.

P. Paweł Grasela, Roztoki, Galicya. W sprawie tej udaliśmy się z zażaleniem do dyrekcyi poczt we Lwowie. Numer żądany wysłaliśmy.

Pan J. Koneczny, Pilzno, Galicya. Zaległe numera wysłaliśmy swego czasu w paczce.

Pan Czesław M. Poznań. Serdecznie dziękujemy.

Pan J. Werstler, Łanczyn, Galicya. Numer 24-ty „Pracy“ wyczerpany.

Pan S. St. Gąsowo. Księgarnia Cybulskiego w Poznaniu, św. Marcin.

Pp. T. M. Głowacki, Opalenica, S. Lewicki, Czechowo i Fr. Kasprzak, Duisburg. Za nadesłane numera „Pracy“ serdecznie dziękujemy.

W. W. 24, Poznań I. Za trzyrazowe umieszczenie inseratu 3 marki.

Pan Fr. Lisiak, Poznań. Introligatornia p. Kmiecikowskiego przy ulicy Wodnej nr. 2. Życzony numer wysłaliśmy pocztą.

P. M. Kutzner, Żerków. Przewodnik przemysłowy wychodzi we Lwowie, Gazeta rzemieślnicza w Warszawie. Najlepiej zaabonuj Pan za pośrednictwem księgarni Leitgebra w Poznaniu, ulica Wilhelmowska. Numera okazowe wysłaliśmy.

Panu S. K. w Derne. Tak, prosimy o przysłanie manuskryptu.

Humorystyka.

W trójprzymierze
Święcie wierzę —
Co mnie to kosztuje,
To nikt nie zrachuje.
Humbert.

*

Dał jej radę.

Stara panna. Wszak prawda panie baronie, że tegoroczna wiosna była bardzo kapryśna?

Baron. No, tak, ale, jeżeli sobie pani przypomni rok 1848 — to była ona nierównie kapryśna.

*

Sprytny.

— Dlaczego Kain, zabiwszy Abla, uciekł?

— Bo się bał poznańskiej policyi.

*

Fijakierski kawał.

Panienka: Fijakier! wolny?

— Na nieszczęście panienko, od roku żonaty.

*

W więzieniu.

Dozorca: Czwartą część kary podarowano ci w drodze łaski, jesteś wolny, zawdzięczaj to dobremu prowadzeniu się.

Więzień: Robiłem co można, byle sobie na przyszłość zaskarbić względy.

*

UCZONEMU.

„Głupia głowa nie łysieje“,
Mówi przysłowie istotnie;
Co się z tobą jednak dzieje,
Bo jak widzę — to odwrotnie!

*

Przy egzaminie.

— Jeżeli znajdziesz przedmiot szklący się jak złoto a chciałbyś się przekonać czy rzeczywiście to metal szlachetny — cobyś uczynił?

— Poszedłbym go zastawić, panie profesorze.

*

Delikatnie.

Iks, po długim flircie..... z kieliszkiem przy kolacyi, postanawia się oświadczyć swej sąsiadce. Gdy więc wstano od stołu, upatrzywszy właściwą chwilę, rozpoczyna:

— Pani, długo się wahałem.....

— O panie! — przerywa sąsiadka — zdaje mi się, że i teraz.... trochę.... pan się.... wahasz.

*

Śmigus lokatorski.

Właściciel kamienicy (do swego lokatora, początkującego adwokata). — No, jakże tam panu u mnie praktyka idzie?

Adwokat. Wie pan, drzwi się nie zamykają...

Właściciel. Ho, ho!.... Winszuję....

Adwokat (kończąc). Bo są spaczone, więc trzeba je koniecznie poprawić i zamek dać nowy....

*

Instynkt kobiecy.

Czego nie odgadnie i mędrzec przy świecy,
To wyśledzi snadnie instynkcik kobiecy.

Do różyczek...

Poetom zwykle z pod pióra płynie
Porównań dużo,
Najczęściej jednak poeci zowią
Kobietę różą.

I różom stale wszyscy pieśniarze
Szczęśliwość wróżą,
Ale bądź dziewczę, hoże, urocze,
Bez kolców różą.

Bo jeśli zechcesz kłuć nas bez miary,
Gdy wdzięki służą,
Nadejdą przecież jesienne chłody
I... zwiędniesz różo.